Baśń a dziecko

WIKTOR BŁAŻEJEWICZ

BAŚŃ A DZIECKO

DLA WYCHOWAWCÓW, OPIEKUNÓW, RODZICÓW, KIEROWNIKÓW BIBLJOTEK, CZYTELNI I ZAKŁADÓW DZIECIĘCYCH

Zł 2.50

WARSZAWA 1930

Żółkiewskiego 31, telefon 61-59
Konto P. K. O. Nr. 13.519

Drukarnia Współczesna, Warszawa, Szpitalna 10

TREŚĆ

Dziecko i otoczenie. — Porozumienie z dzieckiem za pomocą słowa. — Słowa baśni. — Baśń i jej budowa. — Technika opowiadania baśni. — Dydaktyczne i wychowawcze znaczenie baśni. — Język opowiadania. — Żywe słowo i czytanie książki. — Opowiadanie i wiek dziecka. — Bibljoteka i czytelnia dla dzieci. — Opowiadanie jako metoda pracy z dzieckiem. — Opowiadanie w dziecięcych czytelniach Ameryki i innych krajów.

DODATEK. Baśnie: Stara baba i jej prosię. — Trzy niedźwiedzie. — Odwiedziny pająków. — Tron Wikramadityi. — Odważne tygrysiątko. — Młynek. — Nimi-Nimi-Not. — Biały wróbel. — Karakol-Bistekol. — Pół kurczęcia. — Szklanka. — Żółw, myszka, kruk i sarenka. — Kózki. — Mysz wiejska i mysz polna. — Niespodzianka Milly — Molly — Mandy. — Bunt.

Baśń a dziecko

Wiemy dobrze, jakie zainteresowanie budzi w dziecku to wszystko, co je otacza. „Szarzyzna" życia codziennego, drobiazgi, na które tak często nie zwracamy uwagi czy to przez przyzwyczajenie, czy to przez niechęć do tej „szarzyzny", — wszystko to z najmniejszemi szczegółami jest dla dziecka światem złożonych, ciekawych i trudnych do rozwiązania zagadnień.

Dziecko nic nie wie, a wszystko chce wiedzieć; nic nie rozumie, a wszystko chce zrozumieć.

Jest to struna, która drga przy najlżejszem dotknięciu, a którą otoczenie ciągle potrąca.

Zrozumieć te drgnienia, dotrzeć do ich przyczyny, poznać ich istotę, — oto zadanie wychowania i opieki nad dzieckiem.

Staramy się zrozumieć nietylko to, co myśli dziecko, lecz także to, co ono czuje i jak reaguje na otoczenie. Czy ten cel kiedy osiągniemy? Trudno na to odpowiedzieć, choć od wieków wytrwale do tego celu dążymy i choć nieraz cieszymy się pewnością, że już jesteśmy jego bliscy. Niema matki, któraby nie była przekonana, że rozumie swoje dziecko. W pamięci staje mi fakt, kiedy pewna matka poprowadziła dziec-

ko do teatru. Po powrocie do domu dziecko podeszło do matki i powiedziało: „Już będę grzeczny, nie prowadź mnie więcej do teatru". W rzeczywistości najczęściej nie rozumiemy dzieci, nie umiemy z niemi się rozmówić, nie jesteśmy w stanie zejść do dziecinnego sposobu pojmowania życia i jego złożonych zjawisk. Jednak przez całe życie dziecka staramy się coś z niego zrobić.

Jakże to robimy?

Wychowujemy i kształcimy dziecko tak, jak *my* to uważamy za celowe i potrzebne. Wpajamy mu *nasz* punkt widzenia na zjawiska życiowe, zmuszamy je nieraz czuć tak, jak *my* czujemy, nie biorąc pod uwagę tego, że my czujemy i przeżywamy inaczej niż dziecko. Staramy się na nie wpłynąć wszelkiemi sposobami, a gdy słyszymy, że dziecko powtarza właśnie te słowa, o które nam chodziło, cieszymy się z naszego „wpływu". Słowem, dziecko jako odrębne indywiduum dla nas prawie nie istnieje.

A dziecko nas rozumie?

Napozór tak, boć przecież powtarza zdania, które mu wpajaliśmy i robi to, co mu każemy.

Ale to tylko złudzenie, które ma źródło w tem, że czyny dziecka, jego myśli i uczucia mierzymy własną miarką. Domyślamy się, że dziecko płacze z powodu bólu fizycznego, gdy ono samo tego bólu nie odczuwa. Długo i pięknie tłomaczymy mu, że brzydko i niedobrze jest psuć zabawkę, podczas gdy dziecko odczuwa rozkosz badania, analizując konstrukcję zabawki. Gniewamy się na nie za to, że leży na podłodze i brudzi ubranko w chwili dla dziecka najpiękniejszej, kiedy właśnie udaje falę morską, etc., etc. aż do wypadków, gdy mały człowiek pędzi zobaczyć, jak będą rznęli kurę, albo jak tramwaj przejechał konia lub człowieka. Mówimy do dziecka nieraz pięknie, przekonywująco, wkładamy w nasze słowa duszę i spostrzegamy ze zdziwieniem, że dziecko nas nie rozumie.

Dlaczego?

Dlaczego nie rozumie nas w wieku przedszkolnym, dlaczego nie rozumie nas w szkole, ba, nawet nie bardzo ufa słowom naszym, gdy wchodzi samodzielnie na drogę życia?

Przyczyn tego niezrozumienia jest wiele. W pracy niniejszej będziemy mówili tylko o jednej.

. . . .

Jedynym, najpotężniejszym czynnikiem porozumienia się z dzieckiem jest *słowo*. Dziecko zwraca się do nas, posługując się słowami, my również zapomocą słowa porozumiewamy się z dzieckiem. Wpływ, jaki staramy się wywrzeć na wychowańca, zależy w wielkiej mierze od wyboru słów, któremi mówimy do dziecka. Jedno słowo dla dziecka jest często sądem, zdaniem, całym obrazem. Wyrazy „Mama" i „Baba" u dzieci rocznych w połączeniu z odpowiednim gestem oznaczają nieraz w przekładzie na nasz język: „Chcę iść do mamy, chcę iść do babci". Kierownicy przedszkoli mają bogaty materjał stwierdzający, w jaki sposób dziecko obrazuje sobie życie i świat. Sześcioletni Wojtuś, przejęty przedszkolem, mówi do matki: „Ty nic nie jesteś warta! O! moja pani wcale nie ma rozumu w głowie — same zabawy". Takich przykładów są tysiące. W mowie naszej są słowa, które dziecku nic nie mówią, ale są także inne, które tworzą w jego umyśle obrazy, podobne do tych, jakie gdzieś lub kiedyś widziało. Ponieważ pracę umysłową dziecka wyobrażamy sobie jako szereg przebiegających z kinematograficzną szybkością obrazów, przeto w mowie naszej powinniśmy używać słów i zdań, które bądź odpowiadałyby obrazom, jakie mogą według

naszego przypuszczenia powstać w umyśle dziecka, bądź wywołałyby nowe. *Idzie więc o to, aby słowo dawało obraz.* Żeby mówić słowami „obrazowemi", trzeba samemu „widzieć" ten obraz — myśleć obrazowo. Im plastyczniej mówiący wyobraża sobie obraz, tem łatwiejszych i odpowiedniejszych słów używa przy opowiadaniu. Dlatego też słowa, nie dające obrazów, nie powinny mieć miejsca w zdaniu, zwróconem do dziecka. Należy usunąć również ze zdania słowa zbyteczne, nic nie mówiące. Czasami przyzwyczajamy się do używania jakiegoś słowa albo wyrazu i używamy go przy każdej sposobności. Słowa te zanieczyszczają mowę, a nigdy nie wzbogacają i nie uplastyczniają obrazu.

Miss Bryant *) wyobraża sobie dziecko, jako człowieka, który śni. Uważam to porównanie za bardzo trafne. Pamiętamy sny nasze jako szereg obrazów najczęściej bardzo jaskrawych, silnych, przejmujących.

Z jakiem zadowoleniem i przyjemnością budzimy się po przykrym śnie i cieszymy się, że to był tylko sen. Niemożliwe zdarzenia, dziwne, nigdy niewidziane krajobrazy, najfantastyczniejsze zjawiska, nieznajomi ludzie, okropne potwory nie wydają się śpiącemu niemożliwością. We śnie, jak w baśni, wszystko jest możliwe, lecz nigdy, a raczej wyjątkowo rzadko sen kończy się śmiercią bohaterów. Tylko we śnie umiemy latać nad przepaścią, nie możemy uciekać od zbójców, mamy pełne usta szpilek albo much, chodzimy na bale nieubrani i t. p. Wszystko jednak dobrze się kończy. Coś się dzieje niezrozumiałego: rozbójnicy nas nie zabijają, w przepaść nie wpadamy, nawet szpilki nie kłują. Cały przebieg snu składa się z obra-

---

*) S. C. Bryant How to tell stories to children L. 1911.

zów krótkich, lecz silnych i bardzo prostych i dlatego właśnie tak przejmujących naszą wyobraźnię, tak nieraz wstrząsających naszą psychikę.

W takim stanie powinniśmy wyobrażać sobie dziecko, które chcemy zrozumieć i poznać. Kiedy przemawiamy do niego, staramy się wywołać te krótkie, przelatujące, lecz barwne i silne obrazy. Łączy nas wtenczas z dzieckiem tylko słowo. Można to ująć w postaci takiego wzoru:

OBRAZ, który sobie wyobrażamy, wypowiadamy za pomocą **SŁOWA**, ↑

↓

SŁOWO słyszy dziecko i przedstawia sobie jako **OBRAZ**

Obojętnem jest, czy obraz, powstający w wyobraźni dziecka, odpowiada obrazowi, pod którego wrażeniem coś opowiadamy, choć z powyższego wzoru widzimy, że jedno i to samo słowo jest dla opowiadającego końcowym punktem wytworzonego obrazu, a dla słuchającego początkowym punktem tworzącego się obrazu. Im lepiej opowiadający uplastycznia sobie ten obraz, tem jędrniejsze, prostsze i piękniejsze zdania układa, aby ten obraz odtworzyć. Im zaś prostszą i piękniejszą jest forma zdań, tem plastyczniejszy obraz powstaje w wyobraźni dziecka, tem łatwiej i prędzej skupia ono uwagę, wytęża słuch i przejmuje się opowiadaniem. W danym wypadku wcale nie zależy na podobieństwie szczegółów dwóch tych obrazów, — chodzi o to, aby pobudzić myśl dziecka do twórczej i samodzielnej pracy, skierować ją na drogę zdrowego rozwoju, lecz nie domagać się za wszelką cenę, aby dziecko wyobrażało i myślało tak, jak myśli i wyobraża dorosły. Zgóry nawet można powiedzieć, że obrazy w głowie dziecka i opowiadającego nie będą w szczegółach jednakowe. Baśń, opowiedziana gromadzie dzieci, u każdego z nich wywołuje inne

w szczegółach obrazy. Jedno dziecko prędzej uchwyci i zrozumie zdanie, inne znowu powolniej pracuje pod tym względem, zresztą wielkie ma znaczenie to, czy dziecko stara się przewidzieć bieg wypadków, czy też czeka z niecierpliwością rozwiązania treści baśni itp.

. . . .

Kiedy staram się wyobrazić sobie stan wewnętrzny dziecka w chwili, gdy na nie działa zmieniające się ciągle otoczenie, to na myśl mi przychodzi porównanie jego pracy myślowej z „wybuchami". Silne, barwne, wstrząsające wybuchy w umyśle dziecka zwracają jego uwagę to tu, to tam, wszystko ciągle się zmienia i zajmuje uwagę.

Przy studni stoi sześcioletnia Haneczka. Ze studni kapie woda, a dziewczynka patyczkiem grzebie w kałuży.

— Haneczko, co ty tam robisz? — zapytuję.

— Nic — odpowiada — to rzeka.

Przez podwórze właśnie biegnie pies.

— Selim, Selim! — wykrzykuje dziewczynka. — Patrz, Stasiu, Selim biegnie — zwraca się do chłopczyka, dłubiącego w ziemi patyczkiem.

— Nie mogę, patrz, jaki dół wykopałem.

Dziewczynka rzuca patyczek, biegnie do chłopczyka i pyta:

— Co to będzie?... Studnia?... Jezioro?... Nora?... Mogiła? Czy tak sobie...?

Chłopak nic nie odpowiada, więc Haneczka biegnie znów do studni, grzebie patyczkiem i zaprasza koguta:

— Kogut, chodź dam ci... kaszy.

Albo:

Chłopczyk dziewięcioletni spóźnił się do szkoły. Wpada do szatni, rozbiera się i opowiada woźnemu,

co widział na ulicy. Zlekka nucąc idzie do klasy, po drodze spotyka kierownika szkoły.

— Czesiu, dlaczego się spóźniłeś?

— Bo, proszę pana, zegarek źle chodzi.

Po uwadze kierownika biegnie przez korytarz, rękami udaje koła, a ustami robi ciężkie pach... pach... pach...

Widząc to wszystko, zapytuję chłopaka:

— Cóż to jest?

— Pociąg, proszę pana.

Wchodzi do klasy, kłania się nauczycielowi, siada na swoje miejsce. Kolega pyta go o przyczynę spóźnienia, lecz chłopak opowiada o wczorajszej ślizgawce, na której był z mamusią.

Co się dzieje w umysłach tej gromadki, która siedzi przed nami w klasie i niby słucha pięć godzin dziennie naszej suchej nauki?

Słowami, któremi mówimy do dzieci, musimy wywołać ten właśnie wybuch, który oderwie dziecko od otoczenia, a na który zwrócona będzie uwaga dziecięca. Od ślizgawek, parowozów i t. p. słuchacz przechodzi odrazu w krainę, do której chce go wprowadzić opowiadacz.

Słowa te daje nam baśń.

Ona odrazu przenosi wyobraźnię gdzieś daleko, daleko, odrywa od rzeczywistości i opanowuje uwagę dziecka.

„W lesie mieszkał lew... ptasznik jeden rozstawił sieci... kiedyś, kiedyś, przed wielu, wielu laty... i t. p.".

„Dobieramy", szukamy odpowiednich słów, żeby nas lepiej zrozumiano, i widzimy, że, gdy mówimy słowami popularnej książki, dziecko się nudzi, gdy opowiadamy coś słowami baśni, dziecko interesuje się treścią, nie spuszcza oczu z naszych ust, boi się opuś-

cić choć jedno słowo, *przeżywa* opowiadanie, dodaje do treści coś od siebie... „tworzy".

Język baśni jest najwięcej zrozumiały dla dziecka, bo jest prosty, a przedewszystkiem jest *obrazowy* i dlatego najlepiej odpowiada myślom i pojęciom dziecka.

Ale co to jest język prosty, a obrazowy?

Naturalnie określenie takie powinno być opracowane przez specjalistów. Jakim zaś powinien być język opowiadania, to chyba i dla specjalistów jest pracą przyszłości. Tymczasem musimy wzorować się na języku najprostszym i obrazowym, jaki znajduje się w baśniach.

Przeważa tam zdanie proste. Zdań złożonych baśń unika. Każde prawie słowo baśni jest tak silne i barwne, że łatwo oddziaływa na wyobraźnię słuchacza. Jakby w obawie „zbyteczności" słów baśń tworzy słowa nowe, krótkie, lecz dużo mówiące: „czapka-niewidka", „dywan-samolot", „fajka-niewykurka", „buty-samoskoki", „buty-samochody" (w których człowiek robi za każdym krokiem milę, za każdym skokiem dwie mile), „worek-samochwyt" i t. p.

W określeniu pojęć widzimy zdanie, odrazu mówiące, o co idzie. „Baba-Jędza ma zęby żelazne, a nogę kościaną, mieszka w lesie, pilnuje skarbów i żywi się małemi dziećmi albo duszami umarłych. Zanim zje dziecko, tuczy je łakociami. Jeździ Baba-Jędza na miotle, stęporem się pogania, pomiotłem ślad zamiata."

Uosobieniem zła w baśni jest zawsze jakaś Baba-Jędza, albo smoki i potwory, przedstawione w najjaskrawszych słowach, przerażających dziecięcą wyobraźnię. Tak samo dobro, rozum, piękno, cnota podane są w najpiękniejszych, najpogodniejszych barwach, zawsze ujmujących, zachwycających i głęboko przenikających wyobraźnię.

Królewicz, albo królewna to nietylko uosobienie dobrobytu i władzy najwyższej. Jest to uosobienie bohaterstwa, siły, rozumu, zawsze prawie piękna, cnoty i dobra. Królewna to rzeczywiście coś potężnego, wszechmogącego: piękna, że „ani oczy takiej nie widziały, ani uszy nigdy nie słyszały, patrzy światłością słońca", a oddycha „wonią róż". Myje się nie zwyczajną wodą, choćby i ze złotych naczyń, ale „rosą" i to „majową". Nie zwyczajne włosy rozczesują służki królewny, lecz „złotem błyszczące". Chodzi królewna po ogrodzie, ale w baśni niema opisu ani wielkości, ani bogactwa ogrodu. Powiedziano krótko, a jakże obrazowo: „ogród nie ogród", w nim „srebrne" jabłonie, a na nich „złote" jabłka rosną. Cała przyroda — do usług królewny, która wiatrom rozkazuje, a wilka „wiatrolota", biegającego z wiatrami w zawody, ma za posłańca. Koń królewny umie mówić głosem ludzkim, a jest „złotogrzywy" i t. p.

Pomimo tych bogactw królewna jest skromna, posłuszna, cnotliwa, łagodna, dobra, potulna, wstydliwa, nie łamiąca przysięgi, choć to może ją nieraz ocalić. Nakoniec jest pracowita, ba, często musi ciężko pracować, nim stanie się królewną. Królewicze zaś wybierają sobie na żony zawsze kobietę pracowitą, która umie i ziarnka maku policzyć i przez trzy dni tyle naprząść przędzy, że na cały świat wystarczy, choć królewna jest tak delikatna, że nie może spać, gdy pod dwudziestu pierzynami leży ziarnko grochu.

Nic też dziwnego, że w zabawie każda dziewczynka chce być królewną i długi nieraz spór toczy się o ten zaszczyt.

Jedno słowo trafnie w baśni dobrane daje obraz, zmusza umysł dziecięcy do pracy. „Koń złotogrzy-

wy": trzeba pomyśleć, jak taki koń wygląda, czy ma nogi takie, jak zwyczajny koń, czy też i nogi są inne? Dywan „samolot" — czy ma skrzydła? Ta praca absorbuje wyobraźnię dziecka, zmusza do skupienia uwagi, żeby czegoś przypadkiem nie opuścić, bo każde słowo może mieć wielkie znaczenie.

Wszystkie pojęcia w baśni nie wychodzą poza granicę zwykłych pojęć dziecka, a proste, powszednie rzeczy osłaniają czarującą tajemniczością; jest w nich jednocześnie coś nowego, nieznanego, bo w życiu codziennem nie spotyka się tych rzeczy. Czasami baśń używa wyrazów zrozumiałych tylko dla dzieci. Któż z nas zrozumiałby, co to znaczy „Barrabatatabaliba", dla dziecka zaś koniecznością jest powiedzenie tego słowa, bo w przeciwnym razie nie zatrzyma się czarodziejski młynek. Słowa takie zazwyczaj bywają dziwaczne, jednak je dzieci pamiętają, pamiętają też dobrze i lubią imiona cudzoziemskie — może dlatego, że są one nowe, a przez to *„tajemnicze"*.

Przygotowując baśń do opowiadania, należy zachować wszystkie jej charakterystyczne cechy językowe. Z powyższego widzimy, że nie może być mowy o zamianie takich słów, jak niewidka, samochód i t. p. na jakieś zdania tłomaczące te słowa, bo niczem nie da się ich zastąpić. Tłumaczenie lub odrzucenie takich słów zmieniłoby charakter baśni, zepsułoby jej koloryt, jej specyficzną piękność. Tak samo należy zostawić w opowiadaniu powtórzenie poszczególnych wyrazów, zwrotów lub zdań, które, powiedziałbym, nadają baśni pewien rytm, pewną muzykalność. Dzieci lubią te powtórzenia, które nie nużą ich uwagi i nietylko nie przeszkadzają słuchać, lecz odwrotnie pomagają. Są baśnie i opowiadania, składające się wyłącznie z powtórzeń całych obrazów (p. dodatek).

Czasami jedno — dwa słowa tak malowniczo przedstawiają obraz, że zmienić ich w żadnym razie nie można. Naprz.

... stanął przed królewną i rzekł:

— Rozkażesz grać...

Czyż można byłoby te dwa słowa zamienić na jakieś:

— Królewno, może co zagrać, — powiedział...

Albo:

— A kiedy przyjdzie wiosna? — świergotały wróble.

— Wiosna! — powtórzyło echo od pagórka.

— Wiosna! — rozległo się w lasach bezlistnych.

— Wiosna! — mknęło przez pola daleko, bez końca.

Tego hymnu na cześć wiosny nie można ani odrzucić, ani przerobić.

Jeszcze jeden przykład:

W opowiadaniu o Jędzy było powiedziane: porwane dzieci Jędza karmiła migdałami, rodzynkami i orzechami, żeby jej lepiej smakowały przy jedzeniu. Ukradła jedną królewnę i karmiła ją razem z innemi dziećmi, ale co kilka dni kazała sobie pokazywać paluszek, wołając: *maluśka, pokaż paluszek!* Dzieci, chcąc odwlec chwilę swojej śmierci, zamiast palca wytykały i pokazywały jej marchewkę. Jędza obmacywała marchewkę, mówiąc: *o jeszcze pusty, nie tłusty.*

Opowiadająca nie wymieniła szczegółowo, czem Jędza karmiła dzieci, lecz powiedziała: Jędza dawała dzieciom rozmaite łakocie i cukierki. Wtenczas jedna dziewczynka w czasie opowiadania zapytała: Ale jakie cukierki? Po skończonem opowiadaniu opowiadająca oburzyła się, że dziewczynka interesuje się tem, jakie były cukierki. Jednak słuszność ma

w danym wypadku dziecko, bo to jest bardzo ciekawą rzeczą wiedzieć, jakie cukierki posiada Babajędza: czy takie jak wszyscy, czy też inne.

Budowy takich zdań jak: „Była sobie stara królowa, której mąż dawno umarł, i miała piękną córeczkę" (z „Królewny gęsiarki"), należy unikać, zwłaszcza jeśli o mężu królowej niema potem wzmianki w całej baśni.

Opisy, które się trafiają w baśniach, zostają w pamięci na zawsze. Np. z Andersena: „Wiedźma natychmiast nastawiła kocioł, który wytarła przedtem *pękiem gadzin*".

— Czystość jest rzeczą piękną, — powiedziała ze *szkaradnym* uśmiechem.

Potem przebiła własną pierś i kilka kropel *czarnej* krwi spłynęło do mieszaniny, która wrzeć zaczęła. Para buchała z kotła ciemnemi kłębami, tworząc dziwaczne i straszne postacie; powietrze napełniły dzikie jęki, a czarownica co chwila rzucała coś jeszcze do kociołka. Nakoniec ogień zagasł, i wszystko ucichło, płyn był gotowy, czysty, jak woda źródlana."

Dzieci nie lubiące opisów w książkach, opisu w baśni nie mogą opuścić.

Język baśni jest tak prosty, jak język przypowieści, któremi Chrystus nauczał, a które były dla wszystkich zrozumiałe. „Mówił przypowieściami, aby być lepiej zrozumiany przez maluczkich, którzy słuchają chętniej opowiadania niż kazania i lepiej pamiętają treść zdarzenia niż rozumowanie". Dziś zaś inny jest język nauczania, a inny język rozmowy z dzieckiem. Czy język opowiadania nie powinien być naturalnym językiem naszej mowy? Nie opisowy, książkowy, lecz obrazowy, beletrystyczny? Na to odpowiedź powinni dać specjaliści. Dużo naszych

baśni jest napisanych językiem gwarowym. Opowiadać zaś językiem gwarowym naturalnie nie można.

. . . .

O ten przepotężny wpływ słowa na umysł i psychikę dziecka chodzi mi w tej pracy.

We wszystkich typach opieki nad dzieckiem, jako też i metodzie nauczania, znaczenia słowa zwróconego do wychowanka nie możemy pomijać. Musimy natomiast uświadomić sobie, jakie słowa i w jakiej formie dziecko od nas ma usłyszeć.

Powszechne zjawiska życia są tylko snem dla dziecka. Ono nie umie nieraz nawet odróżnić, co widziało we śnie, a co było w rzeczywistości. I w życiu wszystko jest możliwe tak dalece, że dwuletnia Lusia, wymachując rączkami i podskakując, słusznie się skarży i płacze, że nie może latać, jak wróbelek. Obawy zaś matki, że Lusia będzie umysłowo upośledzona, dowodzą, że matka nie rozumie dziecka.

Cóż stanowi treść codziennego życia dziecka?

Wszystko, co je otacza: rzucony na ziemię niedopałek papierosa, zwierzęta, zabawki etc., a mnóstwo kamyczków na brzegu rzeki — to już nadzwyczajna nowość, to wynalazek. Nic też dziwnego, że treścią zabaw dzieci stają się kawałki papieru, drzewa, kamienie i t. p. Wszystko to może się ruszać, żyć, mówić. Kawałek papieru może być koroną królewską, kawałek kija — szablą, karabinem, armatą, lalka może — nawet powinna — mówić, płakać, śmiać się; królewicze, potwory, baby-jędze, czarownice, — wszystko to jest życiowe, możliwe, wszystko to naprawdę jest i żyje. Życie tych martwych (dla nas) przedmiotów przedstawia się dziecku w postaci obrazów.

Jest to najgłówniejsza różnica sposobu myślenia dziecka i dorosłego.

Obrazy te z nadzwyczajną szybkością przebiegają w umyśle dziecka i nieraz tak je pochłaniają, że dziecko nie jest w stanie oderwać się od nich tak, jak dorosły nie może nieraz oderwać się od przykrych wspomnień, myśli i uczuć.

Najzwyczajniejszy djalog może tę myśl zilustrować.

Dziecko, bawiąc się piaskiem, zobaczyło, że kogut wleciał na płot. Biegnie więc czemprędzej do matki, żeby podzielić się tem wrażeniem. Matka, zobaczywszy zamorusane dziecko, mówi z przerażeniem:

— Bój się Boga, jak ty wyglądasz... Mówiłam, prosiłam, ledwo włożyłam czyste ubranko...

Dziecko (w główce ma obraz koguta na płocie, nie uważa, co się do niego mówi, a boi się, że kogut zleci znów na ziemię).

— Dlaczego kogut frunął na płot, czy nie upadnie?...

Matka: słuchaj, co ci mówię i nie zawracaj mi głowy kogutem. Ja do niego mówię, a on nawet nie słucha... i o kogutach mi prawi...

Dziś takie sceny rzadziej się kończą tradycyjnym klapsem, choć nieraz niezrozumienie dziecka często i w szkole doprowadza, jeśli nie do klapsa to do kary równoznacznej.

Drugi przykład:

Dziecko idzie spać. Już leżąc w łóżeczku, prosi o ułożenie lalek i niedźwiadków do ich łóżeczka i o przykrycie kołderką, żeby nie pomarzły. Matka uważa to za zabawkę i z początku łagodnie odmawia, później, zniecierpliwiona natarczywą prośbą, uważa, że są to głupstwa i swawole, nakoniec zaczyna się

gniewać i grozić rozmaitemi karami. Niedola zmarzniętej lalki nasuwa dziecku cały szereg smutnych obrazów, które wywołują płacz, a ze strony matki narzekania: „Jakie to nieznośne dziecko".

Inaczej zakończone nieporozumienie:

Na uporczywe prośby o przykrycie lalki matka odpowiada opowiadaniem: Miałam kiedyś, dawno — dawno lalkę. Była to nieduża dziewczynka. Miała wielkie czarne oczy.

— Oto taka — i dziecko pokazuje jaka.

— Wieczorem kładłam ją do pudełeczka. Lalka zamykała oczki i zasypiała. Rano brałam ją do rąk i laleczka mówiła: „mama, tata" i jeszcze coś. Nie znałam języka lalek, nie rozumiałam, co mówi.

— Pewnie o śniadanie prosiła — dodaje dziecko.

— Pewngo razu po podwieczorku lalka siedziała na kanapie; wtem przechyliła się na bok i zamknęła oczki. Położyłam ją spać, nie przykrywałam kołderką, a wieczorem zgasiłam światło i usiadłam w kąciku... W tem słyszę jakiś szmer: czy to ktoś drapie, czy pisze ołówkiem po papierze? Cichutko się skradam i cóż widzę: oto lalka moja wstaje z łóżeczka i idzie do szafki (było to niewielkie pudełeczko), gotuje herbatę, zaprasza misiów, pieska papierowego, kotka z gumy, wszyscy siadają i popijają herbatkę. Rozmawiają wesoło, a śmieją się na całe pudełko. Słucham, co mówią. „Udało mi się dziś wstać, bo nie byłam przykryta kołderką. Taka ciężka ta kołdra, tak sobie zawsze podrapię twarz i ręce" — powiada lalka. Od tego czasu więcej nigdy nie przykrywałam lalki...

Podobna historyjka inaczej rozwiązuje nieporozumienie. Dziecko z wybitną indywidualnością, „uparte", stanowczo prosi o przykrycie lalki. Ten „upór" trwa dzień — dwa. Potem lalki nie przykrywa, gdy

sprząta zabawki. Na zapytanie, dlaczego lalka nie przykryta, odpowiedź brzmi: „bo ta kołdra taka ciężka". Żadne perswazje, żadne namowy nie pomagają: lalka zostaje nie przykryta. Dziecko o mniej wybitnej indywidualności odrazu podlega wpływom opowadania, przeżywa przykrości i bóle lalki i nie pozwala jej przykrywać.

W danym wypadku nie idzie o jakieś wnioski ogólniejsze, wynikające z treści historyjki. Idzie o *słowa*, zwrócone do dziecka. Prosta historyjka, w której bohaterami są papier, kołderka, lalka, łóżko, słowem rzeczy powszednie, codzienne wywołują w wyobraźni dziecinnej obrazy. Te zdania, te proste słowa dziecko rozumie, a przez to rozumie nas.

Często widzimy, że mowa niani jest więcej dla dziecka zrozumiałą, niania prędzej się z niem porozumie, bo jej słowa są prostsze, a wyobraźnia więcej zbliżona do wyobraźni i myśli dziecka.

A baśnie opowiadane przez nianię długo, długo zostają w pamięci! Ilu poetów i genjuszów do końca życia wspomina opowiadania niani, jako najcudniejsze wspomnienia, najpiękniejsze obrazy.

Dlaczego dzieci tak lubią baśń (czy tylko dzieci?).

Dziecko najlepiej się czuje, gdy jest w atmosferze wesołości, swobody, słońca, pogody. Nawet dziecko chore, ponure, tak zwany „dzikus", lubi patrzeć godzinami, jak inne dzieci się bawią, choć samo w grze nie bierze udziału. Nietylko psychicznie, ale i fizycznie dziecko rozwija się normalnie, gdy rośnie w warunkach tej pogody. Normalny obieg krwi, prawidłowy oddech, wzrost i t. p. zależy od stanu psychicznego.

A to słońce, tę pogodę, tę niezbędną beztroskę daje właśnie baśń. Ona zawiera wszystko to, co jest

potrzebne dziecku w jego bardzo złożonem i pełnem tajemniczości życiu.

. . . .

W mowie potocznej często nie robi się różnicy pomiędzy baśnią a bajką. „Opowiadać bajeczki" to znaczy opowiadać baśnie. Baśń jest wytworem ludowej poezji epickiej, wytworem słowa prostego, w którem odbija się duch ludu, jego „myśli przędza" i jego „uczuć kwiaty". Nie mając na celu morału, nauki, lud w baśni odtwarza życie tak, jak je widzi, jakiem mu się ono wydaje. Fantastyczne, zmyślone, czarodziejskie wypadki, w których główną rolę odgrywają duchy, olbrzymy, karły, wogóle jakieś postacie tajemnicze, wpływające na przyrodę, człowieka i jego życie, stanowią „wrodzoną potrzebę ludzkiej wyobraźni". „Baśń — mówi J. Grimm — to najgłębsze odbicie duchowego życia ludu, to zwierciadło jego pojęć i cech charakteru, podczas gdy apolog (bajka), zredukowany do morału i alegorji, jest zaledwie czwartym moszczem wyciśniętym ze starych winogron". Baśń, jako ludowa literatura ustna, „dzięki żywej pamięci pracowitych, a gwarzyć lubiących kmiotków, przez ich usta doszła do naszych czasów w zupełnej swej świeżości i mocy, straciwszy tylko nieco z pierwiastków swej barwy, gdyż w nieodmienne brzmienia głosek dotychczas nie ujęta jak strumień płynącej wody, musiała i musi zawsze odbijać w sobie te kwiaty i okolice, przez jakie płynie obecnie" (A. J. Gliński).

C. Kolberg dzieli nawet opowieści ludu na kilka grup: klechdy, legendy, powiastki, gadki. Opowieści, w których zwierzęta, rośliny i przyroda martwa wspólnie żyją i „raz skłócone między sobą, to znów

zgodne sobie i człowiekowi podają dłonie", zalicza do klechd, baśni, bajd. Legendami nazywa podania religijne; gawędy o wojakach, kupcach, włóczęgach, zbójcach i t. p. — powiastkami; humorystyczne dykteryjki — gadkami. Klechdy, baśnie i bajdy są nieraz bardzo do siebie podobne. Cudowność i wyobraźnia jednakowo prawie przeważa we wszystkich tych opowiadaniach. Bajka zaś jest to rodzaj poezji opisowo dydaktycznej, zawiera zawsze sens moralny t. j. ściśle odtwarza życie. *)

Prawdę, dobro, zło, piękno baśń podaje dziecku w obrazach prostych, estetycznych, w zupełności dla niego *zrozumiałych*.

W baśni o przebiegłości lisa nie powiedziano jednem nic nie mówiącej zdaniem: lisa wszyscy, nawet uczeni, uważają za przebiegłego. Nie. Przebiegłość lisa wykazana jest w obrazach nieraz złożonych, lecz bardzo prostych w swej plastyczności. Krwiożerczość wilków pamiętamy z baśni. Świat wewnętrzny ludzi (dobroć, złość) odtworzony jest w baśni z nadzwyczajną dobitnością i prostotą, lecz znowu w obrazkach: baba-jędza, smoki, potwory. Słowa dobrej i miłej dziewczynki zamieniają się w drogie kamienie, natomiast złośnica wypluwa ropuchy i glisty. Piękna królewna rzeczywiście jest piękną; odwaga, rycerskość, bohaterstwo idą w parze ze sprawiedliwością i zawsze zwyciężają.

*) W innych językach utwory literackie tego typu, co bajki Mickiewicza albo Krasickiego, noszą nazwę odmienną od utworów epickich ludu. Tak, w języku francuskim *le conte* i *la fable*, w języku niemieckim — *das Märchen* i *die Fabel*, w języku rosyjskim *skazka* i *bas'nia*, — wszystko to są nazwy rozmaitych utworów. W języku polskim mamy bajki (czyli apologi) jako rodzaj poezji opisowo dydaktycznej i baśnie (bajda, opowieść, klechda), jednak ścisłej granicy między temi pojęciami często się nie przeprowadzą.

Najstraszniejsza baśń zawsze dobrze się kończy. Przygody, które, zdawałoby się, postawiły bohatera w położenie bez wyjścia, kończą się pomyślnie i w taki sposób: bohater zamienia się w ptaka, w zwierzę, w górę, w morze i t. p.

Pamiętam opowiadałem baśń o kózkach (patrz dodatek „Kózki"). Dorośli uznali tę baśń za bardzo piękną, dzieci zaś, zapytane, czy im się baśń spodobała, *stanowczo orzekły*: Nie, bo poco one kłamały". Innym razem jedna dziewczynka (8-letnia) powiedziała: „Cóż to za bajka, kiedy kózka kłamie". Dzieci nie rozumiały, że w baśni nie było kłamstwa, lecz słowa kózek odtwarzały stan psychiczny ich siostry. Albo to było za trudne, albo zraziła dzieci pewna, choć nieznaczna tendencja. W baśni nie może być żadnej tendencji, gdyż to psuje piękno utworu, przeszkadza przeżywać utwór swobodnie. *Sens moralny* powinien być usunięty z baśni. Dlatego też nie nadają się do opowiadania bajki Krasickiego, Mickiewicza, Niemcewicza, Lafontaine'a i t. p. — słowem te, które są utworami indywidualnemi i podzielone są na dwie części: obraz i zastosowanie go do życia, co stanowi sens moralny bajki. Należałoby przerabiać taką bajkę, ale to nie jest wskazane, gdyż wtenczas bajka traci swoje piękno, swoje cechy charakterystyczne.

. . . .

Baśń jest to utwór, którego szata zewnętrzna, język, treść, cały układ jest inny, niż w powieściach, romansach, nowelach i t. p.

Szata zewnętrzna baśni swoją prostotą, nadzwyczajną pomysłowością, obrazowością i żywą a ruchliwą akcją jaknajdokładniej odpowiada umysłowości dziecka. Zupełny brak rozumowania, opisów, analizy

i tłumaczenia poszczególnych zdarzeń, przytem język, składający się z prostych zdań, robi baśń łatwo zrozumiałą, budzi wyobraźnię, zajmuje, zachwyca, unosi gdzieś w dal, choć bohaterami są rzeczy powszednie. W tej żywej i pomysłowej akcji przedmioty stają się pięknemi, czarującemi, choć są dziecku dobrze znane.

A *tło*, na którem odbywa się akcja?

Zawsze gdzieś za górami, za dołami, kiedyś dawno, dawno, za czasów nieistniejących królów, w jakichś nadzwyczajnych lasach, na szklanych górach etc. Tło takie odrywa umysł od rzeczywistości, a przedmioty dobrze znane otacza tajemniczością.

Baśń ma swój odrębny świat.

Obcowanie w tym świecie zadawala duchowe potrzeby dziecka. Czy jest to skutkiem niezadowolenia z życia codziennego, — jak mniemają jedni, — czy też to naturalna potrzeba szukania piękna i dążenia do niego w jego, powiedziałbym, najprostszej i najczystszej formie, zwłaszcza, że i człowiek przedhistoryczny uczuwał taką potrzebę, — w danym wypadku i to nie ma znaczenia. Stwierdzamy tylko fakt i pozbawić dziecko zaspokojenia tej potrzeby nie możemy.

Baśń posiada swą odrębną logikę i filozofję, przystosowaną do potrzeb i pojęć dziecinnych i nie wolno nam dodawać nic od siebie, nic z filozofji i logiki życiowej „starszych". Byłoby to psuciem estetycznej wartości baśni.

Próby interpretacji zdarzeń w baśni na wzór podobnych zdarzeń w życiu albo tłomaczenia, dlaczego ten lub ów bohater postąpił tak, a nie inaczej, kończą się najczęściej niepomyślnie. Może dlatego, że dziecko potrzebuje jednocześnie żyć życiem realnem i życiem wyobraźni. Dwa te światy u dziecka tak są połączone, że nie dadzą się prawie rozdzielić. Dziecko najpoważniej może tłumaczyć, że lalka mówi, bo chce jeść i zaraz na uwagę, że lalka milczy, również z przejęciem mówi: „może się zepsuła". Najfantastyczniejsze zabawy są przystosowane do rozmaitych pór dnia i roku, a jednocześnie zrobionego z ciepłego futerka niedźwiadka przykrywa się ciepłą kołderką. Świat wyobraźni i świat realny są tak pomieszane w umyśle dziecka, że nie jest ono w stanie odróżnić w baśni prawdy od wymysłu.

Obrazy w baśni przesuwają się w ścisłej systematyczności i powiązane są ze sobą nie sztucznie, lecz naturalnie. Nic zbytecznego w tym utworze niema. Jeśli bohater ma zatrąbić na trąbce, to o tej trąbce powiedziano w odpowiednim miejscu. Cudowny wypadek, nadzwyczajna przygoda jest wynikiem nieraz bardzo złożonej akcji i w baśni nie wprowadza się za często cudowności dla rozwiązania zawikłanej sytuacji.

Nie widzimy również w baśni nadmiernego używania trudnych (bez wyjścia) sytuacyj bohaterów. Każda następna sytuacja jest więcej zawikłana, niż poprzednia i stąd zjawia się wzrost nastroju, — warunek konieczny dla rozwoju treści. Baśń wzbudza zainteresowanie, trzyma uwagę dziecięcą w stanie ciągłego oczekiwania na *„coś"*, daje materjał do pracy myślowej: mały czytelnik stara się przewidzieć bieg wypadków, domyśla się dalszego ciągu, pragnie, aby się stało tak, albo inaczej, drży o los ukochanego bohatera, przeżywa razem z nim ciężkie chwile po to, by w końcu pozbyć się przykrych wzruszeń, odczuć moralne zadowolenie, odetchnąć z ulgą, odpocząć.

Stosunek małych słuchaczy do baśni, kończących się śmiercią, jest dla mnie niezrozumiałym. Nieestetyczna baśń, jak „Czerwony kapturek", nie ma powodzenia u dzieci (niektórzy autorowie uważają tę baśń

za szkodliwą, gdyż nie zawiera nic estetycznego), jednak słuchają one tej baśni zawsze spokojnie do końca. Pamiętam natomiast, jak opowiadałem baśń o Robin Hoodzie 8-letniemu chłopczykowi. W czasie opowiadania chłopczyk cieszył się szczerze ze wszystkich udanych przygód bohatera, choć opowiadałem już nie pierwszy raz, a więc baśń była dobrze dziecku znana. Kiedy dochodziłem do starości bohatera i zaczynałem opowiadać, jak Robin Hood kazał podać sobie łuk, by jeszczse ostatni raz przed śmiercią wystrzelić, chłopczyk zaczynał rzewnie płakać.

— Więc nie będę ci opowiadał, kiedy płaczesz...

— Opowiadaj, — prosił przez łzy.

— Nie będę, bo płaczesz.

— Opowiadaj...

Za każdym razem, gdy prosił, aby mu opowiedzieć tę baśń, pytałem go:

— A będziesz płakał?

— Nie wiem, — odpowiadał, — postaram się nie płakać.

Jednak albo płakał, albo z nadzwyczajnym wysiłkiem powstrzymywał się od łez.

Baśń tę niezmiernie lubił.

To samo opowiadała mi kierowniczka jednego z przedszkoli.

Dziewczynka lubiła jedną baśń, ale, gdy dochodziło do śmierci, zakrywała rączką usta opowiadającej i mówiła:

— Nie potrzeba, nie potrzeba...

Albo chłopczyk 5-letni słuchał spokojnie o Królewnie Śnieżce, aż do chwili, kiedy ona miała roztajać. Wtedy wybiegał z pokoju. Opuszczać zaś takich „strasznych miejsc" nie można, zwłaszcza, jeśli baśń jest dzieciom znana.

— Nie tak, nie umiesz opowiadać — z oburzeniem krzyczą 5-cio i 6-cio letni słuchacze.

Dziecko to nie jest „mały człowiek", ono ma swoje odrębne życie i zrozumieć to życie nie jest tak łatwo.

. . . .

Opowiadać — to znaczy razem z dziećmi przeżywać jakieś wypadki, razem z niemi cieszyć się ze zdarzeń radosnych i martwić się zmartwieniami bohaterów. Dopiero wtenczas nawiązuje się łączność pomiędzy opowiadaczem a słuchaczami. Praktycznie to znaczy: trzeba, zanim się pójdzie z baśnią do dzieci, samemu baśń tę dobrze umieć, t. j. zrozumieć jej budowę, znaleźć ciągłość opowiadania, wyczuć wzrost nastroju, odrzucić miejsca zbyteczne, przystosować opowiadanie do wieku słuchaczy, a najważniejsze — opowiedzieć językiem nie książkowym, lecz prostym, a pięknym i obrazowym. Wszystko to wyklucza uczenie się bajki na pamięć.

Co zaś do estetycznej strony baśni, to nie należy sądzić, że dzieci da się zadowolnić byle czem. *Poziom piękna powinien być rzeczywiście wysoki,* gdyż dzieci bodaj są czulsze na piękno, niż my, dorośli. Zatem opowiadanie baśni jest to praca twórcza. Jest to swego rodzaju sztuka, nic zresztą nie mająca wspólnego ze sztuką opowiadania na estradzie lub w teatrze.

Kiedy się opowiada dzieciom, trzeba być zawsze naturalnym, trzeba być sobą. Mimika teatralna, patos, podnoszenie lub obniżenie głosu albo straszy dzieci, albo też śmieszy: w rezultacie i jedno i drugie prowadzi do skierowania uwagi nie na treść opowiadania, lecz na osobę opowiadacza. Uwaga słuchającego rozprasza się i dziecko albo się śmieje z „grymasów",

albo uważnie śledzi gesty i ruchy, które potem przedrzeźnia. Cały wpływ baśni wówczas ginie.

— Patrz, jaką on zrobił straszną minę, — mówi w czasie takiego opowiadania jeden słuchacz do drugiego.

Na zapytanie, jak zmieniać głos, powiedziałbym: opowiadać tak, jak opowiada niania, a ona zawsze jest naturalną. „Nienaturalnemi" natomiast stają się dzieci, gdy opowiadanie przeprowadzone jest dobrze. One właśnie zmieniają głos, by udawać wilka, albo lisa, one zaczynają nienaturalnie, dziwacznie chodzić, gdy chcą udawać babę-jagę etc.

„Aktorstwo" słuchaczy byłoby tu bodaj dowodem powodzenia baśni, dlatego też może trzeba do tego dążyć, zwałszcza, że dzieci lubią ilustrować albo inscenizować baśń.

Gesty, mimika, głos, inscenizacja, — wszystko to są szczegóły obrazu, który powstał w głowie dziecka pod wpływem opowiadania. Odtwarzanie tych obrazów, uzewnętrznianie ich dowodzi wpływu opowiadania na umysł dziecięcy i stanowi właśnie tę twórczość całkowicie samodzielną, o którą nam idzie przy pracy z dziećmi. Trzeba być bardzo ostrożnym przy kierowaniu tem odtwarzaniem, bez względu na to, czy to będzie rysunek, czy żywy obraz, czy też inscenizacja baśni. Należy pamiętać, że dziecko w takiej chwili jest zupełnie swobodnym, od nikogo niezależnym twórcą i że roli tej nikomu nie chce odstąpić, zwłaszcza dorosłemu, bo w takiej chwili ono, odczuwa rozkosz twórczości, ten stan, który najsilniej porywa, który jest pewną świętością dla każdego, swego rodzaju sacra sacrorum świata wewnętrznego. W takiej chwili dziecko jest samem sobą, a wszystkie jego zalety i wady uzewnętrzniają się najwyraźniej. Wtedy właśnie najlepiej czynić spostrzeżenia, poznawać dziecięcą psychikę, inteligencję, charakter, anormalności i t. p., zachowując naturalnie wielką ostrożność przy wyciąganiu wniosków i uogólnianiu zjawisk. Obraz, który powstaje w umyśle dziecka, absorbuje je całkowicie i wewnętrzna natura dziecka przejawia się wtenczas z fotograficzną niemal ścisłością. Moment ten jest tak silny, tak wstrząsający umysłem dziecięcym, że niektórzy autorowie zwracają uwagę na to, że nie wszystkie baśnie można opowiadać gromadzie dzieci, gdyż w gromadzie mogą być dzieci nerwowe, obdarzone chorobliwą wyobraźnią i wrażliwością, nadmiernie przeczulone etc., a każde opowiadanie oddziaływa na psychikę dziecka i wywiera taki lub inny wpływ. Nie przesądzając tej kwestji, powiedziałbym, że jest to temat do analizy i przestudjowania, gdyż właśnie w gromadzie równych sobie słabsze dziecko najprędzej nauczy się na wszystko reagować w sposób właściwy dzieciom jego wieku. Przecie najlepszym wychowawcą i lekarzem pod każdym względem jest społeczeństwo. Widziałem poszczególne wypadki dodatniego wpływu opowiadania na dzieci nerwowe, anormalne i przestępne, lecz naturalnie uogólniać to byłoby zawcześnie.

Żeby poznać i zrozumieć dziecko, trzeba się doń zbliżyć, a to nie jest rzeczą łatwą. Tymczasem opowiadanie baśni ułatwia nam to zadanie. Dziecko słuchając rozumie nas i wtenczas lepiej orjentuje się w sytuacji, jest swobodniejsze, zapomina nieraz, że mówi do niego człowiek obcy, nieznajomy. Daje się to odczuć jednakowo, czy gdy się opowiada jednemu dziecku, czy też gromadzie. Gdy zaczynam opowiadać i mali słuchacze mnie rozumieją, każdy z nich jest sobą, myśli i uważa na to, co mówię, a wtenczas nie ma chęci ani do swawoli, ani do grymasów. Nieraz dziecko w czasie opowiadania zapyta o coś takiego,

o czem w zwykłej rozmowie nie zapytałoby nigdy czy to przez obawę, czy przez wstyd, czy też wprost z braku „cywilnej odwagi". Będąc swobodne w stosunku do opowiadającego i gromady, w której się znajduje, jest zarazem niewolnikiem swego stanu wewnętrznego: umysłowości, uczucia, jaźni, nastroju etc. Wszystkie siły wewnętrzne są wtenczas w dziecku poruszone i czynne i występują nazewnątrz w postaci zdań, wykrzykników, ruchów, czy zachowania się. W takiej chwili „widzimy" dziecko, możemy je poznać, zrozumieć, a przedewszystkiem przekonać się, że ta miarka, którą mierzymy wszystko w naszem życiu, jest odmienną od miarki, jaką dziecko mierzy świat cały. Baśń o kózkach nie podobała się nie dlatego, że kłamstwo jest ujemną cechą ludzką, lecz dlatego, że kłamiąc kózki martwiły całe stadko, które było pokrzywdzone przez człowieka. Dziecko zaś zawsze stoi w obronie pokrzywdzonego. Zło w postaci baby-jędzy, czy to potwora lub smoka działa odstraszająco, a każdy, kto zwycięży smoka albo sprytnie i po bohatersku wyjdzie z pęt czarownicy, jest miłym i lubianym bohaterem. Bezgraniczna radość opanowuje serce dziecka przy tych zwycięstwach. Ono samo czuje się uczestnikiem wypadków, które widzi w opowiadaniu. Ono nietylko interesuje się treścią, lecz *przeżywa* radość i smutki istot, biorących udział w baśni, jest mu przytem obojętne, czy to będzie człowiek, czy rzecz martwa, jakgdyby chodziło o same tylko abstrakcyjne pojęcia dobra, zła, sprawiedliwości i t. p. Nawet wtenczas, gdy niesprawiedliwość dzieje się potworowi albo głupiemu, dziecko zawsze znajdzie dla nich współczucie bez względu na ich upośledzenie duchowe czy umysłowe. Upośledzeni umysłowo głupi Maciek i głupi Janek, z których wszyscy się śmieją, w baśni bywają wynagradzani i stają się królewiczami.

Baśń nie zastrasza dziecka, nie rozwija w niem przesądów i zabobonów. Przeciwnie, potwory są łatwo zwalczane, krwiożerczy wilk nieraz pomaga królewnie, upiory i smoki niszczy śmiałość, odwaga i rozum. Nawet myszka, którą w domu łapią w pułapki, nieraz przegryzie sieć, żeby uwolnić uwięzionego lwa.

Baśń jest to nauka moralności i etyki, podana w formie pięknej, a jednak nigdzie niema w niej tendencji, sensu moralnego, „nauczki" t. j. tego wszystkiego, czego dzieci nie lubią, gdy im wpajamy te pojęcia w postaci reguł, prawideł, wypowiedzianych językiem opisowym, suchym, nudnym, dla dziecka obcym i niezrozumiałym. Dziwimy się też często, że dzieci nie rozumieją tak prostych, a tak wzniosłych zasad, niezbędnych w przyszłem ich życiu. Więcej nawet — dziwimy się, że w społeczeństwach zasady te są często gwałcone. Dlaczego? Bo wychowujemy młode pokolenie nie rozumiejąc go, mówimy do niego słowami bezbarwnemi i niezrozumiałemi.

Nie łudźmy się, że mówiąc do dzieci: „Brzydko jest śmiać się z głupca", „niedobrze jest kłamać", „trzeba być rozumnym i śmiałym", „trzeba być zawsze dobrym" etc. spełniliśmy obowiązek wychowawczy względem młodego pokolenia.

Wychowawcze znaczenie baśni podkreśla miss Bryant: „Prostota, celowość i jędrność, — powiada — charakteryzują klasyczne baśnie i najstarsze opowiadania ludowe, — ma się rozumieć, że nie wszystkie są równe sobie pod tym względem, ale znaczną ilość powieści ludowych cechuje świeżość i urok taki, że można je uważać za podwaliny dobrego smaku i stylu".

Poezja wzruszenia, radość życia, prosta estetyka, dobro i zło zrozumiałe dla dziecka, zawsze zwycięska sprawiedliwość, żywa i obrazowa treść, zdrowy hu-

mor, trzeźwy, orzeźwiający koloryt, swojska filozofja życiowa, nareszcie, — i to bardzo ważne, — ozdabianie rzeczy powszednich, codziennych — wszystko to robi z baśni potężny czynnik wychowawczy. Baśń daje dziecku pierwsze zaczątki moralności, podwaliny tej etyki, która dopiero kiedyś, w dalekiej przyszłości, będzie z trudnością zrozumiana i stosowana w życiu. Nie dziwię się, że w utworach wielu poetów i pisarzy znajdujemy nieraz coś z baśni, — coś, co dowodzi jej wpływu, wywartego jeszcze w latach dziecinnych autora.

Baśń daje radość, która jest podstawową siłą moralnego wychowania. „Elementarne prawdy zasad moralności i typy ogólne doświadczeń ludzkich przedstawione są w baśni za pośrednictwem obrazów, a lubo dziecko tylko obraz chwilowo uchwyca, prawda je przenika i staje się jego osobistem doświadczeniem. Każda tak zdobyta prawda rozszerza i pogłębia wewnętrzne życie dziecka i przyczynia się do zasobu, z którego czerpie swe wnioski moralne", — powiada miss Bryant w swej książce: „Co i jak opowiadać dzieciom".

Moralne wychowanie młodzieży, etyka społeczeństw kształtuje się na literaturze pięknej. Baśń przyzwyczaja dziecko do zrozumienia i odczucia tej literatury. Dziecko znajduje w baśni odpowiedź na cały szereg pytań, uczy się w ten sposób życia, jak my go się uczymy z literatury. Stąd wniosek, że powinniśmy baśń wykorzystać w celach wychowawczych i dydaktycznych.

Naturalnie nie wszystkie baśnie mają jednakową wartość i rzeczą wychowawcy jest wybrać odpowiedni materjał.

Żeby zrozumieć i przekonać się, jak opowiadanie baśni dodatnio wpływa na dziecko, trzeba lubić baśń,

opowiadać ją dzieciom, razem z niemi przeżywać jej treść, a zarazem badać uważnie dziecko.

Opowiadanie baśni ma więc na celu obudzenie sił duchowych dziecka, kształcenie jego uczuć etycznych, a dla osiągnięcia tego celu posługuje się zdrowemi i celowemi środkami. Nietylko jednak wychowawczy wpływ wywiera opowiadanie, nie mniejsze jest jego znaczenie dydaktyczne. W czasie opowiadania uwaga słuchającego skierowana jest jak na akcję i poszczególne zdarzenia, tak i na każde prawie słowo, — jeśli słowa są piękne, obrazowe, zrozumiałe i odpowiednio dobrane. Uwaga ta jest inna, niż np. uwaga w klasie podczas lekcji. Tu dziecko, śledząc szczegóły opowiadania, stara się przewidzieć dalszy bieg akcji, niepokoi się o bohatera, albo też odczuwa zadowolenie i dumę, że miły mu bohater wywiązał się zwycięsko z ciężkiej sytuacji i pokonał zło. Przypomina początkowe momenty opowiadania, by nawiązać je do rozwijającej się akcji i znaleźć przyczynę zdarzeń. Uwaga w czasie opowiadania nie jest tylko biernem przyjęciem danego materjału, lecz utajoną bystrą pracą myślową, dającą dużo zadowolenia i rozkoszy, gdyż jest to twórczość. Przerwanie opowiadania, czy to przez opowiadającego, czy też przez uwagi, wykrzykniki i zapytania słuchaczy nieraz wywołuje protesty i cały potok zapytań: „No, a co dalej się stało, niech pan opowiada, jak się skończyło etc."

Obudzić twórczą myśl dziecka, zmusić je do oderwania się od otoczenia i do skupienia uwagi jest zadaniem opowiadania. Treść, budowa, język baśni pod tym względem pomagają temu zadaniu i przyzwyczajają zwracać uwagę nietylko na treść opowiadania, lecz i na każde słowo, każdy szczegół.

Słuchający przyzwyczaja się widzieć w utworze literackim, jakim jest baśń, całość złożoną z poszcze-

gólnych części, ściśle ze sobą związanych w pewien systematyczny i logiczny łańcuch. Opowiadanie baśni przygotowuje dziecko do zrozumienia literatury pięknej.

Skupienie uwagi, twórcza praca myśli, porównywanie zdarzeń i uczestników akcji ze zdarzeniami i typami realnemi, tworzenie nowych obrazów i nowych sytuacji przez wybranie odpowiedniego materjału, podanego w baśni, wszystko to razem wzięte kształci umysł dziecka. Nie należy zapominać, że cała ta praca odbywa się w chwilach estetycznego wzruszenia, gdy w duszy słuchacza są obudzone i powołane do czynności najwznioślejsze, najzdrowsze i najpiękniejsze uczucia. W takich warunkach dziecko wyrabia sobie gust i swoje zdanie o utworze. Brak w opowiadaniu jakichś szczegółów, potrzebnych do tej pracy myślowej, obniża cenność utworu w oczach dziecka, które sądzi o utworze bezstronnie, lecz krytycznie, przykładając swoją miarkę, i w ten sposób nabywa doświadczenia nie z dziedziny fantazji, lecz z dziedziny *abstrakcyjnych* pojęć etycznych i moralnych.

Kształcąc estetycznie, wyrabiając pogląd na zjawiska życiowe, przyzwyczajając dziecko do rozumienia literatury pięknej, opowiadanie baśni uczy dziecko czytać książkę.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Czytanie książek przez dzieci jest to „terra incognita" dla wychowawców i pedagogów. Każda z matek, każdy z wychowawców wie, jak jest trudno wybrać dla dziecka książkę do czytania. Najczęściej miarodajnem dla publiczności jest zdanie pracowników w księgarni, którzy sami wybierają książki dla klijentów. Tak samo jest przy kupnie dla dziecka rękawiczek albo bucików. My nie wiemy, jaką książkę dać dziecku do czytania i z dwojga złego wybieramy lepsze: pytamy człowieka, który *widzi*, co w danej chwili większość kupuje. Dajemy dziecku kupioną w ten sposób książkę i pozostawiamy je samemu sobie.

Wiemy, że dzieci lubią opuszczać opisy i czytają tylko djalogi. Z tak przeczytanej książki dziecko weźmie tylko treść, którą zresztą prędko zapomni.

Opowiadanie zbliża do książki tak samo, jak nas zbliża do książki teatr. W księgarniach wiedzą, że wystawienie w teatrze jakiejś sztuki wywołuje zapotrzebowanie na rynku księgarskim danego utworu, a często także i innych utworów tego samego autora. Wysłuchawszy opowiadania, dziecko lubi czytać książkę na ten sam temat, bo wynajduje w niej szczegóły, które może opuścił opowiadający. Książka ma w takim wypadku to samo znaczenie, co przezrocza, ilustracje etc., gdyż konkretyzuje obrazy, które powstały w umyśle w czasie opowiadania, i pogłębia wiedzę. Wtenczas już każdy szczegół jest dla czytającego ważny, wtenczas opisów się nie opuszcza i widzi się ścisły związek opisów z treścią, z bohaterami.

Bibljoteka dla dzieci to nie jest składnica zakurzona, z której otrzymują one książkę. Jest to *pracownia*, w której powinniśmy poznać stosunek dziecka do książki. W tej pracowni powinni wspólnie pracować psycholog, lingwista, pedagog, specjalista-bibljotekarz i opowiadający. Dzieci przychodzą do takiej „bibljoteki", słuchają w ciągu 45-ciu minut opowiadania, po którem idą do składnicy, wybierają książkę i tu na miejscu czytają. Po opowiadaniu i przeczytaniu książki powinno się z dziećmi prowadzić pogadankę. Jest to ogromna praca, której granic i metody przewidzieć nie sposób. Z pewnością można jednak

stwierdzić, że jest to jeden z najważniejszych sposobów poznania dziecka.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Jeszcze jeden cel ma opowiadanie: mianowicie sprawienie przyjemności dzieciom. W Ameryce praktykują się takie „godziny opowiadań" (Story hours). Wieczorem po pracy w warsztatach, po całodziennem bieganiu i sprzedawaniu gazet dziecko idzie na „godzinę opowiadań" w swojej dzielnicy. Jest to godzina estetycznego wypoczynku, oderwania się od warsztatu pracy, zapomnienia o ciężkich warunkach domowych, gdzie się widzi tylko zakłopotaną matkę i zmęczonego pracą ojca, — wycieczka do cudownych krain, zupełnie odmiennych od życia realnego, obcowanie z innemi dziećmi w gromadzie, a stąd pewne uspołecznienie i to w warunkach zupełnej swobody; taka godzina opowiadań daje ogromny wypoczynek. A jutro w warsztacie będzie się opowiadać innym chłopcom, co się słyszało, albo będzie się dzieliło wrażeniami z tymi, którzy też słyszeli to opowiadanie. Dowie się chłopak, że innemu podobały się nie te zdarzenia, które na nim zrobiły wrażenie. Społeczna wartość takiej „godziny opowiadań" jest tak widoczną, że mówić o tem dłużej nie widzę potrzeby, z mojej osobistej praktyki wiem, że taka godzina daje dużo dzieciom, niemniej jednak daje dużo opowiadającemu.

Opowiadanie wyznaczono na godzinę 7-ą wieczorem, a już od 5-ej spora gromadka kręci się na ulicy koło drzwi, nie zważając ani na mróz, ani na deszcz. Biedny posterunkowy nie wie, co robić ze swawolną gromadą. Lecz to tylko z początku, potem słuchacze przyzwyczajają się do miejsca i z posterunkowym żyją

w zgodzie. Ba, często opowiedzą i jemu treść ostatniej baśni, a on z przyjemnością posłucha. Często też dziecko zwróci się do posterunkowego z zapytaniem: „Czy pan nie wie, o czem dziś będą opowiadali?"

Rozbawiona gromada wchodzi do sali, zajmuje miejsca, wita wchodzącego opowiadacza słowami „dzień dobry" i uspakaja się. Słuchacze sami starają się skupić uwagę, sami uciszają ostatnie szmery audytorjum, aby tylko prędzej posłyszeć opowiadanie. Panuje cisza. „Było to dawno-dawno"... — zaczyna opowiadający i unosi się razem z audytorjum gdzieś w dal... Dziecko w tych warunkach jest zupełnie swobodne: nie boi się opowiadającego, a więc może go spytać o coś, może wypowiedzieć swoje zdanie; jakiś „dowcipniś" śmiało popisuje się swoim dowcipem, „łobuz" postara się zwrócić na siebie uwagę całej gromady nie dlatego, by przeszkodzić opowiadającemu, lecz skutkiem wewnętrznego poczucia swobody, niezależności, które daje opowiadanie. Z jednym warunkiem jednak każdy słuchacz musi się liczyć: mianowicie niedorzeczne zapytanie może wywołać śmiech w gromadzie i wtenczas pytający ośmiesza się; dowcip powinien być rzeczywiście dowcipny, gdyż w przeciwnym razie zamiast śmiechu gromady można usłyszeć: „Nie przeszkadzaj", „Nie dowcipne" i t. p. Łobuzowi za przeszkadzające słuchaniu wybryki każą wyjść z sali i zrobią to nie starsi (wtenczas byłby bohaterem), lecz swoi koledzy. W tych warunkach opowiadający łatwo wyróżnia wybitniejsze duchowo i umysłowo jednostki od niesfornych, niedołężnych i upośledzonych. Dziecko nie stara się uchodzić przed dorosłymi ani za lepsze, ani za gorsze, gdyż w czasie opowiadania nie jest „sztuczne", jest sobą, jest szczere. Każdy z pedagogów wie, jak to jest nieraz

trudno w szkole wydać sąd o dziecku, chociaż pracuje się z niem kilka lat bez przerwy.

Opowiadający daje chwile radości, przez co staje się bliższym, zdobywa zaufanie i autorytet. Prawdziwe zaufanie i szacunek, prawdziwy autorytet, bo pochodzące z pobudek wewnętrznych dziecka, a nie udane, nie podyktowane strachem, czy chęcią pozyskania względów opiekuna lub nauczyciela. Naturalnie metoda opowiadania nie jest wszystkiem, lecz stwarza warunki, które dopomagają nam zrozumieć i odczuć dziecko.

Sztuka opowiadania, jak każda inna sztuka, jest pracą twórczą. Opowiadający jest artystą, którego zadaniem powinno być wybranie utworu najlepiej odpowiadającego treścią, formą i układem tak umysłowemu rozwojowi dziecka, jak i jego estetycznym wymaganiom. Opowiadając, powinien on przybrać ten wybrany utwór w najpiękniejszą, najestetyczniejszą szatę, gdyż słowem swojem będzie oddziaływał na najgłębsze uczucia słuchającego, będzie mu dawał te wrażenia i te wzruszenia, z których się zrodzą w duszy dziecka ideały na całe życie. Tej pracy twórczej nie można ująć w ramki, ani nie można nakreślić jej wzorów, tak ze względu na indywidualność każdego dziecka, jak też i ze względu na indywidualność i stopień wykształcenia opowiadającego. Bardzo często opowiadający zmuszony jest kierować się intuicją, uczuciem, a nie rozumowaniem. Co za urok dla niego posiada ta sztuka kształcenia najwznioślejszych sił duchowych młodego pokolenia i pokazywania życia z tej strony, która jest dla dziecka nieznaną krainą.

To też na zapytanie, jak opowiadać dzieciom, można dać tylko jedną odpowiedź: trzeba przygotować opowiadanie, zebrać dzieci, opowiedzieć i „wyczuć" braki swej pracy.

Słuchając opowiadania, dziecko szuka szczegółów, stara się znaleźć logiczny związek pomiędzy poszczególnemi zdarzeniami, słowem *analizuje* utwór. Otóż opowiadający nie powinien wprowadzać analizy po opowiadaniu, a jeśli to uważa za konieczne, niech postępuje z nadzwyczajną ostrożnością. Należy pamiętać, że wrażenie wywarte przez baśń jest najdroższą własnością dziecka, do której ono nikogo nie dopuszcza, chyba, że samo z własnej inicjatywy dzieli się swemi wrażeniami. Opowiadanie baśni przygotowuje umysł dziecięcy do samodzielnej analizy utworu, ale nie można utożsamiać tej analizy z analizą, jaką często widzimy na lekcjach w szkole. Analizując z dziećmi utwór, obawiałbym się znaleźć w roli kaszlącego staruszka, który, zobaczywszy młodą parę zachwycającą się przy świetle księżyca wznoszącemi się nad jeziorem oparami, przestrzega ją przed komarami, roznoszącemi malarję, i przed wilgocią szkodliwą dla zdrowia.

Przygotowując baśń do opowiadania, często trudno jest wybrać odpowiedni dla wieku dziecka utwór. Baśnie są przecież najrozmaitszej treści. Dzieci zaś nawet o jednakowym wieku mają tak odrębne gusta, że dana opowieść przemówić może do części gromady, pozostałym zaś może nic nie dać. Ogólnych zasad w danym wypadku wskazać nie podobna. Małżonkowie E. N. i G. E. Patridge w swej książce p. t. „Jak i co opowiadać dzieciom w szkole i w domu" *) próbują rozwiązać to zagadnienie. Wychodzą oni z założenia, że w rozwoju dziecka można rozróżnić kilka okresów, dość ściśle odpowiadających okresom rozwoju ras, i że umysłowe życie dziecka rozwija się analogicznie od rozwoju całego narodu.

*) E. N. and G. E. Patridge. Story telling in School and home.

Dziecko początkowo zajmują wyłącznie opowiadania „rytmiczne", w których powtarza się ciągle jedno zdanie lub jedna myśl. W tym wieku dzieci najlepiej lubią opowiadania, w których bohaterami są zwierzęta. Okres ten trwa do 5-ciu, 6-ciu lat.

W następnym okresie 5 — 8 lat przeważa wyobraźnia. W tym wieku najwięcej podoba się czarodziejska baśń. Myśl jest zdolna unosić się w bezmiarach czasu i przestrzeni, a praca umysłowa polega przedewszystkiem na grze wyobraźni. Zainteresowanie czarodziejską baśnią trwa czas dłuższy, przechodząc okresy wzrostu i zmian. Po czarodziejskich cudownych baśniach przychodzi kolej na bajki Grimma i Andersena.

Dzieci w wieku od 7 — 12 lat interesują się opowiadaniami z mitologji i opowieścią epicką, naturalnie przystosowaną do ich umysłu.

W następnym okresie pojawia się zamiłowanie do literatury pięknej, zainteresowanie jednak dotyczy tych utworów, w których nie gra roli miłość, wymienić tu można powieści podróżnicze, historyczne i t. p.

Ścisłych granic pomiędzy temi okresami pomimo wszystko przeprowadzić się nie da, — pracujący z dziećmi powinien polegać najwięcej na własnych spostrzeżeniach.

Przenieśmy się myślą w dawne, dawne czasy. Ludzkość nie umiała ani czytać, ani pisać. Wszelkie wieści przekazywano sobie z ust do ust. Opowiadający zbierał gromadkę słuchaczy i opowiadał to, co widział i słyszał, tłomacząc wszystko po swojemu, dodając coś, albo zmieniając. Napewno jednak słuchacze niezawsze biernie zgadzali się na punkt widzenia opowiadającego. Ten ostatni, słysząc odmienną interpretację omawianej treści, nieraz przejmował się i cudzemi wrażeniami i uczuciami, co następnie

odźwierciadlało się i w opowieści: wrażenia słuchaczy miały więc bez wątpienia wpływ na opowiadającego i czyniły z niego autora opowieści, w których odtwarzały się poglądy, uczucia i wierzenia narodu. Prostackie opowiadania stopniowo przeistaczały się w dzieła sztuki, — od wędrującego opowiadacza wymagało się coraz piękniejszych i ciekawszych opowieści i takiego opowiadacza bardzo się ceniło. Twórczość jego była źródłem estetycznych przeżyć i nowej wiedzy dla słuchaczy.

Przez długie wieki ludzkość się rozwijała, czerpiąc z opowiadania wiedzę, doświadczenie życiowe i zaspokojenie uczuć estetycznych. Z czasem żywe słowo — ten potężny czynnik kształcenia i wychowania człowieka — ustąpił miejsca umiejętności czytania i pisania, a potem drukowanej książce.

Z rozmaitych przyczyn książka stała się w naszych czasach niedostępną dla większej części ludzkości, a przedewszystkiem dla dziecka. Widzimy często, że dziecko w wieku szkolnym nie lubi czytać. Ba, nieraz człowiek wykształcony po kilka lat nie bierze książki do ręki.

Sztuka opowiadania tymczasem zanikła i została zapomniana. Sztuka ta zaczęła się odradzać w Ameryce w końcu 19-go stulecia. Przedewszystkiem wprowadzono opowiadania do czytelni dla dzieci. Wychodzono przytem z założenia, że dzieci często nie czytają książki, bo nie znają jej treści. Nieraz znów czytają wszystko, co im wpadnie w ręce, i przypadek tylko decyduje, że dziecko trafia na książki zrozumiałe dla niego i zaczyna je lubić, — inne zaś, niefortunnie dostawszy książkę o obcej dla niego treści, nieraz na długo traci chęć do lektury. Z praktyki wiemy, jak czasem trudno jest zachęcić dziecko do czytania.

Opowiadanie zbliża dziecko do książki. Wysłuchawszy pięknej opowieści, dziecko „szuka" odpowiedniej literatury. Godziny opowiadania wprowadzono w Ameryce nietylko w czytelniach dziecięcych, ale również i w ochronkach, klubach dziecięcych i szpitalikach. Metoda opowiadania była zastosowana już w r. 1889 w czytelni dla dzieci przy bibljotece Carnegie'go w Pittsburgu *). Początkowo opowiadano dzieciom urywki z dzieł Shakespeare'a i rozmaite baśnie. Wyniki tej pracy okazały się dobre. Utwory epickie i literatura klasyczna były najodpowiedniejszym materjałem dla dziecinnej czytelni. Wkrótce przekonano się, że mali czytelnicy brali z czytelni książki, ściśle związane z treścią opowiadań. Nastąpiła zmiana w dobieraniu książek przez dzieci, a jednocześnie dało się zauważyć, że książki, które przez lat kilka leżały nietknięte, zaczynały być poszukiwane przez dzieci dzięki opowiedzeniu ich treści.

Powstała tedy myśl wykorzystania opowiadań dla rozpowszechnienia *dobrej* książki. Od tej pory praca bibljotekarek uległa znacznym zmianom. Dawne wyłącznie „techniczne" rozdawanie książek traciło rację bytu. Rozdawanie dzieciom książek stawało się niemal pracą wychowawczą i zarazem kształcącą.

Z jednej strony wysuwał się cały szereg zagadnień, które należało uważnie roztrząsać, jak to: co dzieci uważają za dobrą książkę, jakie wrażenie robi na dziecku ta lub owa książka etc.; z drugiej zaś strony powstała konieczność wyróżnienia poszczególnych jednostek z czytającej gromady dziecięcej i zajęcia się z niemi osobno, jednocześnie zaś dał się

*) Fr. Olkot Rational Library work with childern and the prepation for A. Pittsburgh 1910.

odczuć brak metody zbiorowego czytania książki i prowadzenia pogadanki na poruszony w przeczytanej książce temat.

W tej pracy opowiadanie ma wyjątkowe znaczenie. Wprowadzenie metody opowiadania w czytelni dla dzieci wymaga jednego warunku: bibljotekarz powinien pamiętać, że kieruje czytaniem, stanowiącem przyjemność dziecka, i nie może z pracy swojej robić nudnej i obowiązującej szkoły, krępującej czytającego. Należy wykorzystać metodę nie w celu dydaktycznym, lecz wyłącznie w celu zbliżenia się do dziecka na gruncie *dobrej* książki. Obawa, że treść książki raz opowiedziana czyni tę książkę nieciekawą, nie jest słuszna. Odwrotnie. Opowiadanie zaciekawia dziecko. Jest to pierwsza znajomość z bohaterami, głębsze zaś ich poznawanie i życie z nimi należy do dziecka przy czytaniu. Pozostając sam na sam z książką dziecko samo wybiera według swoich „wewnętrznych" upodobań momenty, nad któremi dłużej, czy krócej zatrzymuje swoją uwagę.

Czytając książkę po opowiadaniu, dziecko przyzwyczaja się pogłębiać znajomość jej treści, tem samem uważniej stosować się do procesu czytania, rozwija w sobie prawdziwe zamiłowanie do książki, przyzwyczaja się odróżniać dobrą książkę od lichej literatury.

Bibljotekarz nie powinien czytać książki gromadzie dzieci. Oto powody: czytający mimowoli staje się niewolnikiem książki, jej słów, zdań, treści. Jest tylko słabym echem autora, zabija twórcze momenty swej pracy. Opowiadając zaś, bibljotekarz ma więcej swobody w dobieraniu słów i zdań, w odtwarzaniu poszczególnych zdarzeń, słowem mamy tu pracę całkowicie twórczą, zależną od indywidualności opowiadającego. Dla słuchającego twórczość opowia-

dającego i twórczość autora są momentami całkowicie odmiennemi. Bibljotekarz opowiadając widzi słuchaczy, łatwo więc może zauważyć, jakie wrażenie sprawia opowiadanie, które miejsca są trudniejsze, przedewszystkiem zaś może intonacją głosu, skrótem poszczególnych momentów i t. p. środkami podniecić słabnącą nieraz uwagę dzieci. Czytając zaś, bibljotekarz pozbawiony jest możności robienia spostrzeżeń i reagowania na nie.

Czytający pozatem ma oczy przykute do liter, a nie zwrócone w stronę słuchaczy. Przy opowiadaniu dziecko, widząc wyraz twarzy opowiadającego pomimo, że jest w gromadzie, czuje jakby rozmawiało sam na sam z opowiadającym.

Za przykładem bibljoteki Carnegie'ego metoda opowiadania była wprowadzona również i w innych bibljotekach dla dzieci, następnie także w miejscach, gdzie zbierały się większe gromady dziecięce, jak np. na boiskach, w klubach, ogrodach etc.

Praktyka kilku bibljotek potwierdziła spostrzeżenie bibljotekarzy Carnegie. Wszędzie, gdzie opowiadanie łączyło się z książką, rósł popyt na tę książkę.

Praca zataczała coraz szersze kręgi, stawała się stopniowo coraz systematyczniejszą, aż wyłoniła się potrzeba opracowania planu opowiadań na cały rok, a potem już i na lat kilka.

Wynikiem tej pracy był program, ułożony na 8 lat.

Przez pierwsze dwa lata opowiadano baśnie i legendy.

Następne lata wypełniły: mity greckie, północna mitologja, Pierścień Nibelungów, Król Artur, Rycerze Okrągłego Stołu, Legendy o Karolu Wielkim,

Iljada, Odyseja i t. p. Plan ten powtarzał się co lat osiem.

Gromada dzieci obecna na opowiadaniach liczyła 30 — 40 osób. Mali słuchacze siedzieli na ławkach bez oparcia, rozstawionych w czworokąt.

Dnia 26 grudnia 1911 roku w Worchesterze było urządzone „święto opowiadania". Treść obchodu składała się z opowiadań trzech rodzajów: prastarych leśnych opowieści, baśni, zawierających pierwiastek uczuciowy, i niektórych mitów religijnych. Wszystkie opowiadania miały odtworzyć myśli i uczucia dzikich Indjan Mikmaku. Słuchacze i opowiadająca przebrani byli za Indjan. Scena przedstawiała las, w którym stał wigwam pokryty dywanami. Na scenie usadowiły się dzieci i opowiadająca. Każdemu opowiadaniu towarzyszyła odpowiednio dobrana muzyka, a w przerwach dzieci tańczyły tańce indyjskie. Nie było to jednak przedstawienie teatralne: ani opowiadająca, ani też dzieci nie odtwarzały ról bohaterów opowieści. Scena, muzyka i tańce miały stworzyć nastrój do opowiadania.

Literatura amerykańska zaleca taką inscenizację opowiadania, nawet wymienia niektóre utwory, nadające się do takiego odtwarzania. W spisie tym znajdujemy mitologję skandynawską, utwory epickie, poszczególne opowiadania z życia np. Joanny d'Arc, historje miast i t. p.

Obraz „Słuchanie Homera" może być przykładem w danym wypadku.

W roku 1911 ukazała się w New-Yorku książka małżonków Patridge p. t. „Co i jak opowiadać dzieciom w szkole i w domu". W niedługi czas potem opuściła prasę drukarską książka pod takim samym tytułem napisana przez miss Bryant (W roku 1915 książka ta została przetłomaczona na język polski).

W obu książkach opowiadanie jest potraktowane już jako metoda pracy i zastosowane przy nauczaniu poszczególnych przedmiotów w szkole z dziećmi rozmaitego wieku.

Rozwój metody opowiadań w czytelniach dla dzieci wykazał, że można dać dzieciom dużo pojęć i wiedzy znacznie wcześniej, niż one same zdobędą je z książki. Zdobycz ta jest tem cenniejszą dla pedagogiki, że kształcenie i wychowanie młodego pokolenia odbywa się w warunkach swobody i przyjemności, a nie przymusu i skrępowania. Ale to nie wszystko. Warunki tej pracy dają możność poznania dziecka, zrozumienia jego potrzeb i pragnień i — co najważniejsze — porozumienia się z niem za pomocą książki, tego największego, najważniejszego wychowawcy i nauczyciela. Książka stała się żywem źródłem wiedzy. Amerykańscy i angielscy bibljotekarze wiedzą, że popyt na książki o treści znanej już dziecku nie jest chwilowy, lecz trzyma się dość długo.

To samo zresztą daje się zauważyć w czytelniach dla dorosłych po opowiadaniu, odczycie, teatrze. Z tego względu „Story hours" mają kolosalne znaczenie dla rozpowszechnienia dobrej książki.

Rozwojowi metody opowiadania w czytelniach amerykańskich sprzyjała ścisła współpraca czytelni dla dzieci ze szkołą powszechną. Nauczyciel szkoły wypożycza książki z czytelni i rozdaje dzieciom, po przeczytaniu zaś wymienia je na inne. Dzieci szkolne są więc w ten sposób bardzo dobrze obsłużone, bibljotekarka zaś zna dziecięce wymagania. Nieraz ciekawe „nieporozumienia" zachodzą pomiędzy szkołą a czytelnią na tle wspólnej pracy. Dzieci, utrzymując kontakt z czytelnią na godzinach opowiadań, obstalowują opowiadanie na temat lekcji z historji

albo geografji. Wysłuchają opowiadania, przeczytają ciekawą książkę i w ten sposób do pewnego stopnia przygotują się do lekcji szkolnej. Nauczyciel zaś „oskarża" bibljotekarkę „o pomaganie" dzieciom w odrabianiu lekcyj i w prasie użala się, że „praca w czytelniach dla dzieci doprowadzona jest do absurdu". Naturalnie wypadki takie są bardzo rzadkie i szkoła współpracuje z czytelnią, ułatwiając pracę tak sobie, jak i czytelni.

Drogą tej współpracy metoda opowiadania dostała się do szkoły i dziś zajmuje poważne miejsce w programie nauczania szkolnego.

Metoda opowiadania zrobiła tak szybkie postępy, że założone zostały odpowiednie organizacje, w których nadal bada się ten rodzaj sztuki, a jednocześnie idzie praca w kierunku przygotowania specjalistów - opowiadaczy. Organizacjami temi są: w Ameryce „Liga narodowa opowiadania baśni" i w Londynie — „Towarzystwo czarodziejskiej baśni". Założona w r. 1908 Liga Narodowa (National Jeller's League) dąży do:

1) popierania rozwoju sztuki opowiadania. Propagowania konieczności wprowadzenia opowiadań historycznych i mitologicznych do szkół i instytucyj oświatowych;

2) gromadzenia i opracowywanie *źródeł historycznych i arcydzieł literatury klasycznej* odpowiednio do wymagań metody opowiadań;

3) zakładania centrali pomocy szkolnych (przezrocza, książki, tablice, bibljoteczki dzieł metodycznych etc.).

4) przeglądania literatury i historji i wybierania dzieł odpowiednich do opowiadania. Organizowania tych, którzy lubią słuchać, i tych, którzy umieją opo-

wiadać, a więc kierowników przedszkoli, nauczycieli, bibljotekarzy i t. p.

Liga posiada oddziały, a w statucie dla oddziałów jest jeden punkt, mówiący o obowiązku przesyłania prezydentowi Ligi co rok jednej nowej legendy, baśni, powieści i t. p.

Liga urządza kursy letnie z praktycznemi zajęciami dla nauczycieli szkół powszechnych.

Z Ameryki sztuka opowiadania przeszła do innych krajów i tam bardzo szybko się rozwija.

Kilkanaście lat temu pedagogowie rosyjscy wskazywali na konieczność zajęcia się opracowaniem metody opowiadania. Początkowo utworzone zostało w Moskwie bardzo poufne kółeczko, które zajmowało się badaniem zagadnienia. Prędko jednak dała się odczuć potrzeba większego doświadczenia i pracaześrodkowała się przy bibljotece dla dzieci. O pewnej godzinie raz w tygodniu zbierały się dzieci i słuchały opowiadania. Z audytorjum takiego utworzyła się pracownia doświadczalna. Jednak wkrótce i to nie wystarczało. Praca była przeniesiona na kurs bibljotekarstwa przy ludowym uniwersytecie im. A. Szaniawskiego. Tam też były organizowane odpowiednie zajęcia praktyczne. Następnie wyłoniła się konieczność organizowania specjalnych kursów krótkoterminowych. Cała ta praca polegała na gruntownem badaniu zagadnienia. W roku 1915 wojna i towarzyszące jej zdemoralizowanie ulicy, przeważnie podlotków obu płci w wieku od lat 14 — 18, wymagały rozszerzenia ram pracy i przejścia do szerokiego zastosowania metody opowiadania w pracy pozaszkolnej.

W kilkunastu miejscach miasta były utworzone placówki, przeważnie przy bibljotekach i t. p. organizacjach, gdzie młodzież miejska w określone dni i godziny słuchała opowiadania.

W pracy nastąpiło pewne zróżnicowanie. Wyłoniła się potrzeba oddzielenia opowiadania baśni od opowiadań na temat naukowy, opowiadań treści geograficznej, przyrodniczej, historycznej, dzieł literatury pięknej i t. p. Nareszcie poszczególne zagadnienia metodyczne zmusiły do organizowania nowych pracowni, a poszczególnych członków do specjalizowania się w pewnych kierunkach. W rezultacie tego powstały: „Instytut badania literatury dla dzieci i stosunku dziecka do książki" i „Instytut słowa", w którym praca skierowana została na badanie języka opowiadań, odrębności języka baśni, utworów epickich i t. p.

Rewolucja bolszewicka, rujnując całe życie Rosji, nie oszczędziła naturalnie i szeroko już wtedy rozgałęzionej pracy opowiadaczy. W roku 1920 poszczególnym jednostkom udało się jednak zwołać zjazd opowiadaczy i zrobić przegląd sił, które zostały jeszcze po wichurze rewolucyjnej. Okazało się, że praca nietylko nie ustała, lecz ciągle się rozwijała, jakkolwiek w warunkach nienormalnych i ciężkich. Na zjazd zjechało się paręset osób, które, pracując nad dziećmi i stosując metodę opowiadania, borykały się z głodem, chłodem i brudem ówczesnego życia.

W rozmaitych miejscach kuli ziemskiej można się spotkać z opowiadaniem prowadzonem w różnych okolicznościach. Gromadki młodych Indjan, siedząc przy ognisku, słuchają baśni o wielkoludach północy, albo o potwornych ptakach, ruchem skrzydeł sprowadzających burzę. W Afryce mieszkańcy wsi słuchają o nadzwyczajnych przygodach lampartów, antylop, żółwi i królików. Dzieci Eskimosów słucha-

ją dawnych baśni, które są bardzo podobne do sag islandzkich. Na wschodzie kapłani w żółtych togach z liściem palmowym na kolanie opowiadają o cudownem narodzeniu Buddy. W Chinach i Japonji opowiadanie jest poniekąd rzemiosłem: na rynku opowiadacz bawi tłum rozmaitego rodzaju utworami. W Afryce północnej również na rynku można spotkać gromadę murzynów wokoło zawodowego „artysty". W czasie długich wieczorów zimowych, przy kominku w domu farmera — flamandczyka babunia opowiada wnuczętom prześliczne baśnie flamandzkie. Jakiś starzec zjawia się na rogu ulicy w miastach włoskich i opowiada całe cykle baśni i legend, a tłum wokoło niego rośnie, bo każdy chce posłuchać. Do dziś dnia po całej Polsce babunie, albo matki opowiadają przy kominku lub też przy łóżeczku dziecka polskie baśnie i odczuwają duże zadowolenie moralne, widząc zachwyty dziecka.

DODATEK

Poza baśniami, które opracowałem z baśni flamandzkich i opowiadałem dzieciom, umieściłem tu kilka baśni ze zbiorków Miss Bryant i małżonków Patridge. Zbiór polskich baśni jest bardzo wielki. Większość tych baśni należy jednak opracować pod względem językowym i przystosować do wieku małych słuchaczy.

Ze zbiorów polskich mamy na rynku księgarskim duży zbiór A. Glińskiego „Bajarz polski". Są to baśnie przeważnie zebrane na Litwie w powiecie Nowogródzkim.

Dla poznania bogatego materjału o baśniach koniecznem jest posługiwanie się książką Dr. Fr. Gawełki „Bibljografja ludoznawstwa polskiego" Kraków r. 1914. Nakł. Akadem. Umiejętności. W rozdziałach X i XI tej pracy dr. Fr. Gawełki czytelnik znajdzie wykaz literatury, dotyczącej podań, legend, opowiadań, baśni, anegdot i wierzeń ogólnych (mitologja) ludu polskiego.

Stara baba i jej prosię

Pewnego razu baba zamiatała izbę i znalazła w kącie stary, pognieciony pieniążek.

— Cóż zrobić z tym pieniążkiem? — pomyślała — pójdę na targ i kupię sobie prosię.

Poszła i kupiła. Wraca do domu z prosięciem. Po drodze trzeba przejść przez rzeczkę. Na rzeczce leży kładka. Ale prosię nie chce przejść przez kładkę. Zostawiła baba prosię i poszła dalej. Idzie, idzie i spotyka psa.

— Piesku, piesku, — powiada baba, — ugryź moje prosię! Prosię nie chce przejść przez kładkę, a ja przed wieczorem nie zajdę do domu.

— Nie chcę — odpowiada pies.

Poszła baba dalej. Idzie, idzie i spotyka kij.

— Kiju, kiju, wybij psa. Pies nie chce ugrzyźć prosięcia, prosię nie chce przejść przez kładkę, a ja przed wieczorem nie zajdę do domu.

— Nie chcę, — odpowiada kij.

Poszła baba dalej. Idzie, idzie i spotyka ogień.

— Ogniu, ogniu, spal kij. Kij nie chce wybić psa, pies nie chce ugryźć prosięcia, prosię nie chce przejść przez kładkę, a ja przed wieczorem nie zajdę do domu.

— Nie chcę, — odpowiada ogień.

Poszła baba dalej. Idzie, idzie i spotyka wodę.

— Wodo, wodo, zgaś ogień. Ogień nie chce spalić kija, kij nie chce wybić psa, pies nie chce ugryźć prosięcia, prosię nie chce przejść przez kładkę, a ja przed wieczorem nie zajdę do domu.

— Nie chcę, — odpowiada woda.

Poszła baba dalej. Idzie, idzie i spotyka wołu.

— Wołu, wołu, wypij wodę. Woda nie chce zgasić ognia, ogień nie chce spalić kija, kij nie chce wybić psa, pies nie chce ugryźć prosięcia, prosię nie chce przejść przez kładkę, a ja przed wieczorem nie zajdę do domu.

— Nie chcę, — odpowiada wół.

Poszła baba dalej. Idzie, idzie i spotyka rzeźnika.

— Rzeźniku rzeźniku, zabij wołu. Wół nie chce wypić wody, woda nie chce zgasić ognia, ogień nie chce spalić kija, kij nie chce wybić psa, pies nie chce ugryźć prosięcia, prosię nie chce przejść przez kładkę, a ja przed wieczorem nie zajdę do domu.

— Nie chcę, — odpowiada rzeźnik.

Poszła baba dalej. Idzie, idzie i spotyka powróz.

— Powrozie, powrozie, powieś rzeźnika. Rzeźnik nie chce zabić wołu, wół nie chce wypić wody, woda nie chce zgasić ognia, ogień nie chce spalić kija, kij nie chce wybić psa, pies nie chce ugryźć prosięcia, prosię nie chce przejść przez kładkę, a ja przed wieczorem nie zajdę do domu.

— Nie chcę, — odpowiada powróz.

Poszła baba dalej. Idzie, idzie i spotyka myszkę.

— Myszko, myszko, przegryź powróz. Powróz nie chce powiesić rzeźnika, rzeźnik nie chce zabić wołu, wół nie chce wypić wody, woda nie chce zgasić ognia, ogień nie chce spalić kija, kij nie chce uderzyć psa, pies nie chce ugryźć prosięcia, prosię nie chce przejść przez kładkę, a ja przed wieczorem nie zajdę do domu.

— Nie chcę, — odpowiada myszka.

Poszła baba dalej. Idzie, idzie i spotyka kota.

— Kotku, kotku, zabij myszkę. Myszka nie chce przegryź powroza, powróz nie chce powiesić rzeźnika, rzeźnik nie chce zabić wołu, wół nie chce wypić wody, woda nie chce zgasić ognia, ogień nie chce spalić kija, kij nie chce wybić psa, pies nie chce ugryźć prosię-

cia, prosię nie chce przejść przez kładkę, a ja przed wieczorem nie zajdę do domu.

A kot odpowiedział:

— Idź do krowy i przynieś mi miseczkę mleka. Wtenczas zabiję myszkę.

Poszła baba do krowy, krowa zaś odpowiedziała:

— Przynieś mi trochę siana.

Poszła baba do stogu i przyniosła krowie siana. Krowa zjadła siano, dała babie mleka i baba poszła z niem do kota. Wypił kot mleko i poszedł zabić myszkę, myszka poszła przegryźć powróz, powróz poszedł powiesić rzeźnika, rzeźnik poszedł zabić wołu, wół poszedł wypić wodę, woda poszła gasić ogień, ogień poszedł palić kij, kij poszedł bić psa, pies poszedł ugryźć prosię, prosię poszło przez kładkę i baba zaszła przed wieczorem do domu.

Trzy niedźwiedzie

Było to bardzo dawno. W ponurym lesie, w małym domku mieszkały trzy niedźwiedzie. Jeden z nich był to maluteńki niedźwiadek, drugi był średni niedźwiedź, a trzeci było to duże niedźwiedzisko. Każdy z nich miał osobną miskę: mała miseczka należała do malusieńkiego niedźwiadka, średnia miska do średniego niedźwiedzia, a duża misa do dużego niedźwiedziska.

Każdy z nich miał krzesło do siedzenia: malutkie kresełeczko dla malusieńkiego niedźwiadka, średnie

krzesełko dla średniego niedźwiedzia i duże krzesło dla dużego niedźwiedziska.

I każdy miał łóżeczko do spania: małe łóżeczko dla malusieńkiego niedźwiadka, średnie łóżko dla średniego niedźwiedzia, a ogromne łoże dla dużego niedźwiedziska.

Pewnego razu niedźwiedzie ugotowały sobie zupę, ponalewały do misek, a obok misek położyły łyżki. Zupa stygła, one zaś wybrały się na spacer. Właśnie o tej porze szła lasem dziewczynka. Nazywała się Złotowłosa. Podeszła do domu niedźwiedzi, zajrzała przez okno, później przez dziurkę od klucza, nacisnęła klamkę, i drzwi się otworzyły. Złotowłosa weszła do domku i na stole zobaczyła zupę. Było to bardzo osłodzone mleko z ryżem. Sprobowała z dużej misy dużego dziedźwiedziska, ale mleko było za gorące. Zostawiła łyżkę w misie i sprobowała z miski średniego niedźwiedzia, ale mleko było za zimne. Zostawiła łyżkę w misce i sprobowała mleka malusieńkiego niedźwiadka. Nie było ono ani za zimne, ani za gorące, tylko w sam raz i bardzo jej smakowało. To też zjadła pełną miseczkę tej zupy.

Potem Złotowłosa usiadła na krześle dużego niedźwiedziska. Położyła twardą poduszkę, ale jej było za twardo. Więc usiadła na krzesełku średniego niedźwiedzia i położyła miękką poduszkę, ale jej było za miękko. Usiadła nareszcie na krzesełeczku malusieńkiego niedźwiadka. Krzesełeczko to nie było ani za twarde, ani za miękkie, tylko w sam raz. Złotowłosa rozparła się i złamała krzesełeczko.

Potem po schodach poszła na górę do sypialnego pokoju. Tam stały wszystkie łóżka. Okna były otwarte.

Najpierw położyła się do łóżka dużego niedźwiedziska. Odsunęła poduszkę, ale w głowach było jej

za wysoko. Poszła więc do łóżka średniego niedźwiedzia, odsunęła wałek w nogach, ale łóżko było za wysokie w nogach. Nareszcie położyła się do łóżeczka malusieńkiego niedźwiadka. To nie było za wysokie ani w głowach, ani w nogach, ale w sam raz Przykryła się i mocno zasnęła.

W tym czasie niedźwiedzie wróciły.

— Ktoś ruszał moją zupę, — zawołało duże niedźwiedzisko wielkim, grubym głosem.

Średni niedźwiedź spojrzał na swoją miskę i zawołał średnim głosem:

— I moją zupę ktoś ruszał.

Nareszcie malusieńki niedźwiadek spojrzał na swoją miseczkę i powiedział małym, słabym głosikiem:

— I moją zupę ktoś ruszał i zjadł wszystko.

— Ktoś siedział na mojem krześle, — zawołało wielkim, grubym głosem duże niedźwiedzisko.

Średni niedźwiedź spojrzał na swoje krzesełko i zawołał średnim głosem:

— I na mojem krzesełku ktoś siedział.

Nareszcie malusieńki niedźwiadek spojrzał na swoje krzesełeczko i powiedział małym, słabym głosikiem:

— I na mojem krzesełeczku ktoś siedział i nawet je złamał.

Poszły niedźwidzie po schodkach na górę.

— Ktoś leżał na mojem łóżku, — zawołało wielkim, grubym głosem duże niedźwiedzisko. Głos ten był podobny do grzmotu, albo do wiatru, ale Złotowłosej nie obudził.

— I w mojem łóżku ktoś leżał, — zawołał średnim głosem średni niedźwiedź. I ten głos nie obudził Złotowłosej.

— Ktoś leżał w mojem łóżeczku i jeszcze w niem jest — powiedział małym słabym głosikiem malusieńki niedźwiadek. Piskliwy głosik obudził dziewczynkę. Zerwała się z łóżka. Niedźwiedzie stały po jednej stronie łóżka, a Złotowłosa ześlizgnęła się na drugą stronę, wyskoczyła przez okno i co tchu pobiegła do swojej mamusi.

Odwiedziny pająków

(z Miss Bryant)

(do opowiadania w czasie świąt Bożego Narodzenia).

Było to bardzo dawno, w wigilję Bożego Narodzenia.

We wszystkich domach zabierano się do porządków. Gospodynie i służące krzątały się, zamiatając, szorując, woskując, wycierając. Szczotka zajrzała do każdej dziurki, do każdego kącika.

„Puk puk" — stukała wszędzie szczotka.

W kątach żyły pająki. I w kątach pokojów i w kątach strychu, czy ciemnych piwnic.

Lecz szczotka nie darowała żadnemu kącikowi i pająki musiały uciekać na wszystkie strony. Przy takiem sprzątaniu nikt ostać się nie mógł.

Nareszcie sprzątanie skończone. Do pokoju wniesiono dużą choinkę. Starsi ozdobili choinkę żółtemi pomarańczami, czerwonemi jabłkami, złotemi orzechami i zabawkami. Potem zamknęli salę na klucz, żeby dzieci nie zaglądały. I choinka stała sobie spokojnie w dużej sali. Wszyscy domownicy widzieli, jakie to drzewko było śliczne.

Niania swemi dużemi zielonemi oczami także ją widziała. Obeszła ją wokoło, oglądając ze wszystkich stron. Pies, wierny stróż domu, poczciwym, pieszczotliwym wzrokiem także ją obejrzał. Żółty kanarek, zanim się w klatce do snu ułożył, przyglądał się jej pilnie swemi czarnemi oczkami. Nawet popielate myszki potrafiły ją zobaczyć, gdy w pokoju nikogo nie było.

Nie widziały choinki tylko... pająki, a bardzo były ciekawe, jak wygląda. Pająki lubią wiedzieć o wszystkiem.

To też powiedziały sobie:

— Pójdziemy do małego Dzieciątka. Ono nam pomoże zobaczyć choinkę.

Poszły więc do Dzieciątka Jezus i powiedziały:

— Drogie Dzieciątko! wszyscy w domu widzieli choinkę; jutro nawet dzieci ją zobaczą, a nas nie wpuszczają i wcale jej nie będziemy widziały. My domu nie opuszczamy, bardzo lubimy ładne rzeczy, a nas... *wymietli*, i wcale choinki nie zobaczymy.

Małe Dzieciątko ulitowało się nad pająkami i pozwoliło im obejrzeć choinkę.

Wieczorem wszyscy spali. Pająki cichusieńko weszły do piwnicy, z piwnicy cichuśko, cichusieńko prześlizgnęły się pode drzwiami do pokojów, a potem do dużego salonu. Duże matki-pająki i tatusiowie-pająki, dziadki i babki-pająki aż do najmłodszych pajączków — wszystko to pobiegło po podłodze ku choince i dalej po gałęziach aż na wierzchołek drzewa. I ciągle patrzyły. Jak się cieszyły, jak im się podobała choinka! Przeszły wszędzie: w górę, w dół, po gałęziach, po świeczkach, słowem wszędzie.

Wszystko obejrzały, a potem bardzo zadowolone, powróciły jedne na strych, drugie do piwnicy.

Późną nocą Dzieciątko Jezus zeszło do choinki, żeby dla wszystkich zostawić podarunki.

I cóż zobaczyło?

Pająki zostawiły po sobie długie, jedwabiste nici.

Dziwny był to widok. Długie popielate nici osnuwały całe drzewko.

Cóż Dzieciątko miało robić? Wiedziało, że dzieci nie lubią pajęczyny. W żadnym razie choinka nie może być pokryta pajęczyną.

Święte Dzieciątko chwilę się zastanowiło, potem dotknęło choinki swojemi paluszkami i otóż... cała pajęczyna z szarej zamieniła się na złotą. Świeciła, żarzyła się poprzez gałęzie, długie złote nici zewsząd się spuszczały.

Od tego czasu stroi się choinki złotemi nićmi.

Tron Wikramadityi

(Hinduska legenda).

Dawno, bardzo dawno żył w Indjach mądry król. Nazywał się Wikramaditya. Nigdy jeszcze na świecie nie było tak dobrego i mądrego króla. Każdy szedł do niego po radę. Wikramaditya bardzo uważnie słuchał każdego i wydawał mądry i łaskawy sąd. Wszyscy byli zadowoleni z jego sądu.

Król miał swój tron, wykuty z czarnego marmuru. Zamiast nóżek u tronu było 24-ch aniołów, też z marmuru wykutych. Wikramaditya wydawał sąd, zawsze siedząc na tronie.

Ten król umarł. Naród nie mógł go zapomnieć i wszyscy mówili: „tyle to lat przed narodzeniem Wikramadityi“, albo „tyle to lat po śmierci Wikramadityi“. O ludziach bardzo mądrych i bardzo dobrych inaczej nie mówiono, tylko: „Ten pewno siedział na tronie Wikramadityi“.

Minęło dużo, dużo lat. Królowie mieszkali już gdzieindziej. Z miasta króla Wikramadityi zostały tylko ruiny. Na miejscu dawnych pięknych pałaców były lasy i chwastem porosłe pola.

Pewnego razu na te pola pastuszkowie przygnali stado. Stado się pasło, a chłopcy zaczęli się bawić. Długo wybierali zabawę, aż jeden z nich zobaczył pagórek i krzyknął:

— O, ten pagórek podobny jest do tronu. Będziemy się bawili w sędziów. Ja będę sędzią.

Wszyscy się zgodzili i chłopak wbiegł na pagórek. Tymczasem dwaj chłopcy oddalili się od gromadki i długo się nad czemś naradzali. Potem podeszli do pagórka i prosili sędziego, żeby wydał sąd w ich sprawie.

Mają obaj pole i każdy uważa to pole za swoją własność.

Sędzia zadawał pytania jednemu, potem drugiemu, a wszyscy się dziwili:

Co to się stało? Przed wejściem na pagórek ten sędzia był zwyczajnym chłopcem, a teraz odrazu się zmienił. Już innym mówi głosem, inne są jego słowa. Tak mówią tylko mądrzy i uczeni. Chłopcy nigdy nie słyszeli takich mądrych i łaskawych słów. Z trwogą i niepokojem oczekiwali wyroku.

Sędzia ogłosił wyrok.

— Jak mądrze i sprawiedliwie sądzi! — zawołali wszyscy.

Każdy z nich odczuł jakąś dziwną trwogę. Odeszli od pagórka i zaczęli wszyscy biegać, krzyczeć i śmiać się. Wkrótce jednak któryś powiedział:

— Bawmy się w sędziów.

Znowu zaczęli się bawić i w czasie biegania chłopiec sędzia był, jak zawsze, zwykłym wesołym chłopcem.. Ale oto usiadł na pagórku i stał się odrazu poważnym, mądrym, a wszyscy go się bali. Dlaczego tak się zmienia? Chłopcy zrozumieć nie mogli.

Pastuszkowie bardzo lubili tę grę i często się tak bawili. Jednak bywał sędzią stale ten sam chłopak.

U pastuszków weszło potem w zwyczaj w razie kłótni iść do tego chłopaka. On sądził i wydawał wyrok. Ale przedtem zawsze musiał wejść na pagórek. Wkrótce o mądrym chłopaku dowiedzieli się i dorośli. Zaczęli przychodzić do niego, a on ich sądził. Wszyscy się dziwili jego mądrości i sprawiedliwości. Wieść o małym sędzim — pastuszku doszła do dalekiej stolicy. Usłyszał o nim i król.

Pewnego razu królowi opowiadano o mądrym sądzie małego pastuszka i król rzekł:

— Chłopczyk ten pewno siedział na tronie Wikramadityi.

Mędrcy, stojący przy królu, odpowiedzieli:

— O, władco, *to* jest możebne. Przecież dawna stolica Wikramadityi była blisko tego pagórka. A tam właśnie bawili się pastuszkowie.

Król był bardzo dobry. Często sądził rozmaite sprawy i nie zawsze mógł je dobrze rozstrzygać. A chciał być sprawiedliwym.

— Gdybym tak usiadł na tronie wielkiego Wikramadityi? Pewno rządziłbym mądrze i sprawiedliwie, — pomyślał jednego razu.

I kazał szukać tronu dawnego króla.

Na pagórku zebrało się mnóstwo ludzi. Wszyscy szukali tronu. Rozkopano pagórek i znaleziono w nim wielką tablicę z czarnego marmuru. Tablicę trzymało 24-ch marmurowych aniołów z rozpostartemi skrzydłami.

Nareszcie odnaleziono tron wielkiego Wikramadityi!

Z wielką uroczystością przewieziono tron do stolicy i postawiono go w dużej sali sądowej.

Król nakazał w całem państwie post trzydniowy. Potem miał zacząć sądy u stóp tronu Wikramadityi.

Minęło trzy dni, a czwartego sędziowie i kapłani w białych płaszczach z wielką powagą i pobożnością weszli do sali sądowej dwoma rzędami od tronu do drzwi sali.

Niedługo ukazał się król. Powolnym krokiem przeszedł między rzędami kapłanów i z rozpostartemi rękami legł u stóp tronu.

Zapanowała cisza.

Król wstał i chciał usiąść na tronie. Wtem jeden z aniołów przemówił do niego:

— Masz-li prawo usiąść na tronie Wikramadityi? Czyś nigdy nie pragnął zawładnąć cudzem państwem?

— Nie, nie mam prawa, — odpowiedział król.

— Czeka cię jeszcze trzy dni postu i modlitwy. Może wtenczas będziesz godzien tronu Wikramadityi.

Anioł *znikł*.

Król nakazał w całem państwie trzy dni postu. Na czwarty dzień znowu z rozpostartemi rękami padł na ziemię przed tronem. Wtem drugi marmurowy anioł przemówił do niego:

— Masz-li prawo usiąść na tronie Wikramadityi? Czyś nigdy nie zapragnął cudzych bogactw?

— Nie, nie mam prawa, — odrzekł król.

Czeka cię jeszcze trzy dni postu i modlitwy. Może wtenczas będziesz godzien tronu Wikramadityi.

I anioł *znikł*.

Minęło dużo czasu. Król ciągle przychodził do tronu i za każdym razem któryś z aniołów zapytywał:

Masz-li prawo?

Aż został tylko jeden anioł, ten go jeszcze nie pytał. Jeszcze raz król trzy dni pościł i modlił się, potem przyszedł do tronu.

Ostatni anioł przemówił do niego:

— Masz-li prawo usiąść na tronie Wikramadityi?

Król milczał.

Przecież tak długo pościł, tak gorąco się modlił!

— Masz-li sumienie czyste? — zapytał anioł.

— Nie godzien jestem tronu, — odrzekł król.

I marmurowy tron znikł.

Odważne tygrysiątko

(Baśń tybetańska)

Mieszkał sobie w lesie tygrys z tygrysicą i z trojgiem dzieci. Tygrys był już stary i często chorował. Umierając zwołał wszystkie swoje dzieci i rzekł:

— Pamiętajcie: Tygrys jest władcą lasów. Jednak musicie się bać jednego zwierzęcia: na imię mu — człowiek. Nie napadajcie nigdy na niego.

Po tych słowach tygrys umarł.

Starsi synowie posłuchali ojcowskiej rady i nigdy nie podchodzili do ludzkich domów. Młodszy zaś koniecznie chciał napaść na człowieka.

— Co też to za zwierzę, ten człowiek?

Jednego razu odważne tygrysiątko poszło w świat. Ledwo wyszło z barłogu, a tu idzie wół. Był to wół stary i niedołężny.

— Coś ty za zwierzę? — spytało tygrysiątko. — Czy to nie ty przypadkiem jesteś człowiekiem?

— O, nie, ja jestem starym wołem.

— A nie możesz mi powiedzieć, co to za zwierzę, ten człowiek? Chcę go koniecznie znaleźć i zabić.

— Radzę ci nie zbliżać się do człowieka. Jest to niewdzięczne stworzenie. Byłem młody, pracowałem na niego i te oto blizny są zapłatą za moją prace. A teraz mnie starego i niedołężnego wygnał do lasu.

Uśmiechnęło się tygrysiątko i poszło dalej.

W drodze spotkało słonia. Słoń był stary, miał pomarszczoną skórę i oczy mu się łzawiły ze starości.

— Kto ty jesteś? — zapytało tygrysiątko — pewnie człowiek?

— E, co znowu. Jestem stary słoń.

— Doprawdy? Może mi co powiesz o człowieku? Co to za zwierzę? Chcę go znaleźć i zabić.

— Radzę ci nie zbliżać się do człowieka — odpowiedział słoń. — Jest to okropne zwierzę. Mnie, króla lasów, oswoił i zrobił swoim sługą. Byłem młody, pracowałem na niego. Wtenczas mię szanował, karmił, karmił. A teraz starego i niedołężnego wygnał do lasu.

Uśmiechnęło się tygrysiątko i poszło dalej.

Po drodze spotkało drwala.

— Coś ty za zwierzę? — spytało.

— Niemądre tygrysiątko, — odpowiedział drwal, — czyż nie widzisz? Jestem przecie człowiekiem.

— Doprawdy? Oj, jak to dobrze. Przecież szukam człowieka, chcę go zabić i zjeść.

Drwal się roześmiał.

— Mnie zabić i zjeść? Czyż głupi tygrys potrafi zabić mądrego człowieka? Chodź ze mną, to ci coś pokażę.

Tygrysiątko zgodziło się i obaj poszli do domu drwala.

Dom był zbudowany z mocnego, dobrego drzewa. Drwal pokazał swój dom i rzekł:

— Widzisz, jest to mieszkanie człowieka. Teraz zobacz, jak trzeba w niem mieszkać.

Drwal wszedł do domu i zamknął drzwi za sobą.

— Rozumiesz teraz? Człowiek umie więcej, niż tygrys. Buduje dla siebie piękne mieszkanie, a tygrys mieszka w barłogu — powiedział drwal przez okno.

Tygrys strasznie się rozgniewał.

— Dlaczego takie wstrętne i bezbronne stworzenie ma mieszkać w takim ślicznym domu? — zawołało tygrysiątko. — Wynoś mi się stąd — ja tu zamieszkam.

Drwal wyszedł z domu i wpuścił tam tygrysiątko.

— Czy pięknie wyglądam w tym domu? — zapytało tygrysiątko, wyglądając przez okno.

— O, bardzo pięknie — odpowiedział drwal, zamknął drzwi na zamek, wziął siekierę na ramię i poszedł do lasu rąbać drzewo.

Młynek

Było dwuch braci. Jeden był bogaty. Nazywano go bogatym Stachem. Drugi był ubogi. Nazywano go biednym Bartkiem. Bogaty był bardzo skąpy. Biedny często o coś prosił bogatego, lecz ten się gniewał. Wreszcie powiedział do Bartka:

— Ostatni raz ci daję. Proś Ognistych Karłów; odtąd niech oni ci pomagają.

Bartek karłów tych nie znał. Podobno byli kapryśni i mieszkali bardzo daleko, gdzieś pod ziemią.

Pewnego razu nie miał pieniędzy, więc wybrał się w drogę. Chodził, chodził, aż doszedł do Karłów.

I cóż zobaczył? Wszędzie płonęły ogniska, a nad niemi obracały się rożny. Koło tych ogni spacerował król karłów. Był on najmniejszy z nich wszystkich. Na głowie miał czapkę śpiczastą, a ubrany był w czerwoną kurtę. Gdy ktoś obcy zbliżał się do ognia, król wskazywał palcem i mówił:

— Upieczcie go.

Karły wtenczas brały obcego i obracały nad ogniem.

— Jakże się teraz czujesz? — pytał król spacerując.

Ten prosił wtenczas:

— Puść mię, puść mię!

Karłów to bardzo bawiło.

Biedny Bartek też się zbliżył. Karły rzuciły się na niego i przywiązały do rożna nad największym ogniem. Podrygując na jednej nodze przyszedł i król.

— A co, jakże się czujesz teraz? — spytał.

— Nieźle, dziękuję, — odrzekł Bartek.

— Dołóżcie drzewa, — rozkazał król.

Wkrótce potem znowu spytał:

— A co, jakże się czujesz?

— Teraz daleko lepiej, dziękuję.

— Król zmarszczył brwi, kazał jeszcze drzewa dołożyć, ale biedny Bartek ciągle powtarzał:

— Bardzo mi dobrze, dziękuję.

Nareszcie rozpalono największy ogień. Karły same wytrzymać nie mogły w pobliżu, a Bartek przeciągnął się na ogniu i powiada:

— O, doskonale. Jak mi teraz dobrze. Lepiej być nie może.

Biednemu Batkowi w jego ubogiej chałupie było zawsze zimno. Tu zaś wprost rozkoszował się ciepłem. Nareszcie król zniecierpliwiony rzekł do niego:

— A teraz idź sobie.

— Nie, dziękuję, wolę tu zostać, — odpowiedział Bartek.

— Masz iść! — zawołał król.

— Nie chcę! Pocóż mam iść marznąć tam na górze. Tu mi jest dobrze.

Karły nie mogły dokuczyć Bartkowi. Król zwołał radę, potem wrócił do Bartka i rzekł:

— Dam ci, co chcesz, tylko idź sobie stąd.

— A co mi dacie? — spytał Bartek.

— O, masz ten młynek, tylko odejdź stąd.

— Na cóż mi się przyda młynek? — spytał Bartek.

— To nie byłejaki młynek. Powiesz tylko: „Młynku, młynku, zmiel mi to, a miel prędko", a młynek mleć będzie wszystko, co zechcesz. A powiesz: „Barrabatabaliba", — młynek stanie.

— To bardzo ciekawe — odrzekł biedny Bartek, wziął młynek i poszedł sobie. Wspinał się długo pod górę, aż doszedł do swego domu. Przed starą chałupą postawił młynek i rzekł:

— Młynku, młynku, zmiel mi piękny dom, a miel prędko.

Młynek zaczyna mleć prędko, prędko i oto ukazał się bardzo piękny dom. Miał wysokie kominy, szerokie okna, duże drzwi i piękne balkony. Już ostatni stopień schodów miał być skończony, gdy Bartek zawołał: *„Barrabatabaliba"*, i młynek stanął.

Bartek zaniósł go na podwórze i rzekł:

— Młynku młynku, zmiel bydło, a miel prędko.

Młynek zaczął mleć i powstały krowy, woły, owce, kury, króliki, różowiutkie prosięta. I już kończył młynek ostatni zakręt ogonka ostatniego prosiaczka, gdy Bartek zawołał: „Barrabatabaliba" i młynek stanął.

To samo było z meblami, z bielizną, z zapasami. Potem Bartek postawił młynek za drzwiami i wziął się do swojej roboty.

Pewnego razu przyszedł do Bartka bogaty, a skąpy Stach i zapytał:

— Skąd ty masz te bogactwa?

— O, odpowiedział Bartek — to młynek.

— Jakto młynek?

— A młynek, o ten za drzwiami. Powiem mu: „młynku, młynku miel mi to a to, a miel prędko". Zaraz zaczyna mleć aż mu...

Ale Stach dalej nie słuchał i powiada:

— Pożycz mi swego młynka.

— Z przyjemnością — uśmiechnął się Bartek — zabierz go.

Bogaty, a skąpy Stach wziął młynek pod pachę i poszedł do domu. Przechodził przez pole, a robotnicy szli właśnie na obiad. „Dużo czasu tracą na chodzenie" — pomyślał — mogą zjeść tu, na polu". Zawołał robotników i kazał przynieść miski. Postawił potem młynek na ziemi i powiedział:

— Młynku, młynku, miel polewkę, a miel prędko.

Młynek miele, miele polewkę, miele z cebulą i serem. Każdy robotnik napełnił sobie miskę i ze smakiem zajada.

— Dosyć młynku, możesz stanąć — rzekł Stach.

Młynek tymczasem miele i miele.

Młynek meł, polewka się rozlewała, a ser nitkami się ciągnął. Stach ciągle krzyczał: „Dosyć, dosyć" a młynek meł i meł. Cały staw utworzył się z tej po-

lewki i ciągle się powiększał, zalał podwórze, potopiły się kury i króliki. Tylko kaczki ocalały i pluskały się w polewce, jak w wodzie. Nareszcie ludzie krzyknęli:

— Idźże do brata, Stachu, bo i my utoniemy.

Stach popłynął przez polewkę. Ciągnący się ser skleił mu włosy i pozalepiał oczy. Na głowie miał Stach kawałki cebuli i w takim pożałowania godnym stanie przyszedł do Bartka. Brat się roześmiał, wziął czółno, dostał się do młynka i szepnął:

— Barrabatabaliba i młynek stanął.

Dużo czasu minęło, zanim polewka wsiąkła w ziemię. Stach miał już dosyć tego młynka i Bartek zabrał go do domu.

Pewnego razu przyszedł do Bartka kapitan okrętu. Długo podróżował i teraz opowiadał dużo nadzwyczajnych przygód. Bartek wysłuchał i powiada:

— A czy widziałeś kiedy nadzwyczajny młynek?

— Cóż tam w nim może być nadzwyczajnego? — zapytał kapitan.

— Powiedz mu tylko „młynku, młynku, miel to a to, a miel prędko", zaczyna mleć, aż mu...

— Kapitan nie słuchał dalej i zapytał:

— Czy nie możesz mi pożyczyć tego młynka?

Bartek się uśmiechnął.

— Ależ owszem, z przyjemnością.

Kapitan wziął młynek pod pachę i wrócił na swój okręt.

Młynek postawił w kajucie. W czasie długiej podróży na statku zabrakło żywności, przedewszystkiem soli. Kapitan przypomniał sobie o młynku. Przyniósł go, postawił na pokładzie i zwrócił się do kucharza:

— Przynieś pakę na sól.

Kapitan postawił pakę przed młynkiem i rzekł:

— Młynku, młynku, miel mi sól, a miel prędko.

Młynek zaczyna mleć. Miele, miele piękną, białą sól. Paka już była pełna i kapitan powiedział:

— Dosyć młynku, to wystarczy.

Młynek zaś mełł dalej. Sól rozsypywała się po pokładzie.

— Powiedziałem: dosyć — wołał kapitan.

Młynek jednak nie słuchał i mełł dalej. Kapitan klął, krzyczał, złościł się, lecz nic nie pomagało. Młynek mełł bez przerwy.

Już od ciężaru okręt zaczynał tonąć. Kapitan porwał młynek i wyrzucił do morza. Młynek upadł na samo dno morskie.

I do dziś dnia nie przestał mleć soli.

Nimi-Nimi-Not

(Angielska baśń ludowa)

Była sobie jedna kobieta. Pewnego razu upiekła pięć dużych bułek. Wyjmuje bułki te z pieca, ale zdjąć z brytwanny nie może: przypiekły się.

— Postaw bułki na półkę, — powiedziała do swojej córki — niech skórka odejdzie.

Dziewczynka wzięła bułki i postawiła na półce. Popatrzyła na nie i pomyślała:

— Muszą być smaczne. Poco ma skórka odchodzić? lepiej ja zjem tę skórkę.

Zaczęła jeść skórkę, potem i same bułki zjadła.

Przy kolacji matka powiada:

— Bułki pewno odeszły, przynieś je tutaj.

— Nie mogę przynieść... przecież odeszły.

— To tem lepiej, będą miękkie.

— Nie, one zupełnie odeszły. Bułek wcale niema.

— Jakto niema? — spytała matka.

— Niema żadnej, zjadłam wszystkie.

Matka była zdziwiona. Pięć dużych bułek zjeść odrazu! Wzięła wrzeciono i wyszła na ulicę. Siedzi na ulicy, przędzie i śpiewa.

Córka moja zjadła pięć, całych pięć bułek.
Córka moja zjadła pięć, całych pięć bułek.

Drogą jechał król. Usłyszał piosenkę kobiety, ale nie mógł zrozumieć słów, więc się zatrzymał i pyta:

— Co to za piosenka?

Kobieta zaczęła śpiewać:

— Córka moja naprzędła dziś pięć, całych pięć motków.

— Dziwna rzecz, — powiedział król. — Nigdy nie słyszałem o takich prządkach. Wiesz co, kobieto: szukam narzeczonej i ożenię się z twoją córką. Ale zawrzemy umowę: 11 miesięcy w roku będzie ona królową. Niczego jej nie zbraknie. 12-y miesiąc będzie przędła codzień po pięć motków. A jeśli nie wykona tej pracy — każę ściąć jej głowę.

— Dobrze, — odpowiedziała kobieta.

„Będzie bogate wesele, — pomyślała, — a o pięciu motkach przędzy król napewno zapomni".

Odbyło się bogate wesele. Przez 11 miesięcy córka żyła po królewsku: miała wszystko, czego tylko chciała. Czasami przypominała sobie o przędzy i wtenczas odczuwała trwogę. Król nigdy nie wspominał o pięciu motkach.

„Może już zapomniał", — myślała.

Przyszedł ostatni dzień 11-go miesiąca. Król zaprowadził królową do małego pokoiku. Nigdy dawniej tego pokoju nie widziała. Było tam wrzeciono, niewielka ławeczka i stół.

Król powiedział:

— Jutro zamknę cię w tym pokoju. Będziesz tu siedziała przez cały dzień. Wieczorem przyjdę do ciebie po pięć motków.

Król wyszedł, a królowa usiadła na ławeczce i rozpłakała się.

Wtem ktoś zapukał do drzwi. Królowa otworzyła. Na progu stał malutki czarny potworek z długim czarnym ogonkiem. Potworek spojrzał na nią i zapytał:

— Czego płaczesz?

— A co cię to obchodzi? — odpowiedziała królowa.

— Powiedz mi, może ci pomogę.

Królowa opowiedziała o pięciu bułkach i o pięciu motkach.

Potworek pokręcił ogonem i rzekł:

— Słuchaj. Codzień rano będę przychodził do ciebie i zabierał len, wieczorem zaś będę odnosił ci gotową już przędzę.

— Czem ja ci będę płaciła? — spytała królowa.

Potworek spojrzał na nią zpodełba.

— Codzień będziesz zgadywała, kto ja jestem. Trzy razy będę zadawał pytanie. W ostatni dzień miesiąca zapytam po raz trzeci. Wtedy musisz zgadnąć. Inaczej pożrę cię.

„O, po miesiącu napewno odgadnę“, — pomyślała królowa i powiedziała:

— Dobrze.

Potworek kiwnął ogonem i znikł.

Na drugi dzień rano król przyprowadził królową do pokoju. Na stole znajdował się len i jedzenie przygotowane na cały dzień.

— Pamiętaj! — powiedział król — albo każę ci ściąć głowę, albo dasz mi wieczorem pięć motków.

Wyszedł z pokoju i zamknął drzwi.

W pokoju była cisza. Wtem królowa słyszy:

Puk, puk, puk — ktoś stuka do okna.

W oknie ukazał się potworek. Królowa dała mu len i potworek znikł.

Wieczorem znowu do okna ktoś zapukał:

— Puk, puk, puk.

W oknie ukazał się potworek, trzymając w rękach pięć motków pięknej przędzy.

— Masz — powiedział. — A kto ja jestem?

— Bill — odpowiedziała królowa.

— Nie.

I potworek kiwnął ogonem.

— Ned? — starała się zgadnąć.

— Nie.

— Może Markus?

— N-nie.

Potworek mocniej kiwnął ogonem i znikł.

Wieczorem król przyszedł do pokoju, zobaczył przędzę i rzekł:

— Dziś nie każę ścinać ci głowy.

Król wyszedł i zamknął drzwi. Odtąd codzień przynoszono dla królowej jedzenie i len. Rano ukazywał się w oknie potworek, zabierał len, a wieczorem przynosił pięć motków pięknej przędzy. Co wieczór królowa starała się odgadnąć imię potworka, ale nie mogła.

Nadszedł przedostatni dzień miesiąca. Potworek przyniósł przędzę i zapytał:

— Odgadłaś, kto jestem?

— Nikodem.

— Nie.

— Samuel?

— Nie.

Potworek wytrzeszczył na nią podobne do rozżarzonych węgli oczy i powiedział:

— Królowo, pozostał jeden dzień. Jutro albo zgadniesz, albo cię pożrę.

I znikł.

Wieczorem królowa siedziała na ławeczce. Wszedł król i zobaczył pięć motków przędzy.

— Jutro też pewno przędza będzie zrobiona i nie będziesz skazana na śmierć, — powiedział król. — Zjem teraz z tobą kolację.

Podali kolację. Oboje usiedli do stołu. Wtem król zaczął się głośno śmiać.

— Czego się śmiejesz? — zapytała królowa.

— Ach, dziś jechałem przez las i widziałem bardzo śmieszną rzecz... W tej części lasu nigdy jeszcze nie byłem. Widziałem duży dół w ziemi i usłyszałem jakiś dziwny szum. Zeskoczyłem z konia i cichutko podszedłem do dołu. Siedział tam straszny, czarny potwór z długim ogonem. W łapach miał wrzeciono i bardzo prędko prządł, wyśpiewując:

Nimi-Nimi not,
Jestem Tom Tit Tot.

I tak bez końca to powtarzał.

Królowa bardzo się ucieszyła, lecz nic nie powiedziała.

Na drugi dzień wieczorem ukazał się potworek. Prędko wskoczył do pokoju, szeroko otworzył paszczę i wyszczerzył ogromne zęby. A z wielkiego zadowolenia prędko kręcił ogonem.

— Kto jestem? — zasyczał potworek.

— Salomon — powiedziała królowa, udając przestrach.

— N-nie — zawołał potworek i podskoczył bliżej.

— Euzebjusz?

— Też nie.

Potworek zachichotał i zaczął prędko kręcić ogonem.

— Królowo, jeśli teraz nie zgadniesz, to cię pożrę.

Potworek wyciągnął już ostre pazury przednich łap.

Królowa cofnęła się o kilka kroków, uśmiechnęła się i, wskazując na potworka palcem, powiedziała:

Nimi Nimi Not,
Jesteś Tom Tit Tot.

Potworek się skurczył, podwinął ogon i znikł. Odtąd już się nie zjawiał.

Królowa żyła spokojnie, a król nigdy nie kazał jej prząść.

Biały wróbel

(Z baśni flamandzkich)

Było to dawno, dawno. Wtedy zwierzęta i ptaki mówiły językiem ludzkim.

W lesie mieszkał sobie biały wróbel. Ale to biały, jak śnieg. Ćwierkał dźwięczniej, niż inne wróble, a odważny... Odważniejszego nie było na całym świecie.

Nie był łakomy, nie kradł, nie można go było nazwać krzykaczem.

To też wróble z nim się nie przyjaźniły.

Bardzo to martwiło białego wróbelka.

Jakże żyć na świecie bez przyjaciela? Lepiej umrzeć.

Poszedł tedy szukać przyjaciela wśród innych zwierząt.

Udał się tedy do niedźwiedzia, ale ten mu odburknął:

— Nie potrzebuję nikogo.

Udał się do wilka. Ten tylko zęby wyszczerzył.

Pogadał z lisem. Ten chętnie się zgodził, ale biały wróbelek odrazu zrozumiał, o co chodzi: lis chciał zjeść nowego przyjaciela.

Proponował przyjaźń koniowi, wołu, osłu. Wszyscy odmówili:

— Eee... jaką korzyść da nam przyjaźń z taką okruszyną? Z tobą się zadać, to jakby pokumać się z muchą.

Biedził się wróbelek. Chciał mieć przyjaciela, a nie mógł go znaleźć. Chętnie zwróciłby się do człowieka, ale ten więzi ptaki w klatce.

. . . .

Jednego pięknego poranku wróbelek błąkał się po krańcach miasta i spotkał tam starego, kulawego, ślepego, chrypiącego, wychudzonego i niedołężnego psa.

Ledwo to nogi przesuwało. Wróbelek pożałował psa i grzecznie spytał:

— Dokąd idziesz, starowino?

— A dokąd oczy patrzą, — odpowiedział kundel. — Długo służyłem memu panu. Teraz na starość mnie, niedołężnego, wypędził a wziął innego. Chciał nawet mię zabić, ale uciekłem.

— Jakże się nazywa ten niegodziwiec?

— Tafaro, piwowar.

— Pewno ten, co mieszka w nizinie pod miastem?

— Ten sam.

— Znam go dobrze. W śpichrzu ma bardzo dużo ziarna. Zaglądałem tam jednego razu przez dziurkę w dachu. O, to jest straszny niegodziwiec. Dzieci nawet bije... Ty, biedaku, nie masz pewno żadnych przyjaciół?

— A nie mam...

— Może chcesz być moim przyjacielem?

— Z przyjemnością, ale cóż ty mi możesz pomóc?

— Może ci pomogę. Zobaczymy potem. No, zgadzasz się?

Pies wyciągnął do wróbelka łapę, a ten podniósł jedną nóżkę. Uścisnęli sobie dłonie i przyjaźń była zawarta.

. . . .

Biały wróbel leciał w powietrzu, pies wlókł się po ziemi i tak posuwali się ku głównej kwaterze wróbli całego kraju. Po drodze spotkali srokę-trajkotkę.

— Dokąd ciągniesz ten łachman? — krzyknęła, wskazując na kundla.

— To nie łachman, to jest mój przyjaciel, — z dumą odrzekł wróbel.

— Przyja...a...a...ciel! Dziwne rzeczy: biały wróbel znalazł przyjaciela.

Sroka-trajkotka wróciła zpowrotem. Po drodze opowiedziała wszystkim wróblom o nowym przyjacielu białego wróbla.

W jednej chwili setki wróbli otoczyły przyjaciół. „Wiesz", „wiem", „wiesz", „wiem", „wiesz", „wiem",.... — słychać było zewsząd.

Każdy z nich wytrzeszczał oczy na psa i coś dogadywał.

— To ci przyjaciel!...

— O jednym oku...

— Na trzech nogach...
— A jaki wyskubany...
— Stary łachman, a nie przyjaciel...
— Skąd wygrzebał takiego?...
— Skąd?... Kupił pewno. Wczoraj na rynku sprzedawali stare łachmany...

Biały wróbel z początku słuchał spokojnie dogadywań, a potem rzekł:

— Wszyscy jesteście piękni, młodzi i silni, — zgadzam się, ale dajcie nam pokój.

. . . .

Wróbel i pies żyli bardzo zgodnie. Wróbel rozumny, sprytny i odważny łatwo zdobywał dla przyjaciela pokarm i pomagał mu w każdej biedzie. Wieść o tej przyjaźni rozeszła się po całym lesie. Wszyscy tylko o tem mówili.

Jedno było niedobrze: pies nieraz mocno zasypiał i wróbel nie mógł go wtenczas obudzić.

Jednego razu poszli przyjaciele na spacer. W drodze stary pies się zmęczył, wyciągnął się i zasnął.

— Pocoś się położył na samej drodze? — krzyczał wróbel. — Jeszcze cię przejadą.

Nic nie pomogło. Pies spał mocno i nie słyszał. Wróbel usiadł na wierzchołku drzewa i pilnował śpiącego towarzysza.

Z nudów ćwierkał sobie.

Wtem na drodze ukazał się wóz z beczką piwa. Koło wozu szedł pijany i zły Tafaro. Wróbel zaczął budzić psa, ale nic z tego. Daremnie krzyczał mu nad uchem. Pies spał, jak zabity. Wróbelek wtenczas poleciał do piwowara.

— Proszę pana, — powiedział, — niech pan uważa na mego przyjaciela, co śpi tam na drodze.

— Dlaczego go nie obudzisz? — spytał Tafaro.

— Budziłem, ale nie mogę się dobudzić. Bardzo mocno zasnął.

— Tem gorzej dla niego, — odburknął piwowar i poprowadził konia naprzód.

— Proszę pana, — błagał wróbel, — przecież to dawny pies pana. Dziesięć lat wiernie pilnował domu!

— Taaaaak!.... To ten niegodziwiec, co uciekł odemnie. Dobrze, żem go tu spotkał.

Tafaro wprost na psa skierował konia.

— Zastanów się, niegodziwy, zastanów się, bo potem będziesz żałował...

— Tak? A cóż ty możesz mi zrobić? — pogardliwie śmiał się piwowar.

I wóz przejechał psa.

Wróbelek przeraźliwie zakrzyczał, nastroszył piórka białe, z oczu sypały mu się skry...

— Tyś zabił mego przyjaciela!... Wypowiadam ci wojnę...

— Idź sobie, sroczy ogonie...

Smutny i stroskany wróbelek odleciał. Po drodze spotkał srokę-trajkotkę.

— Gdzieżeś podział swego przyjaciela? — spytała sroka.

— Niestety, moja kochana, piwowar Tafaro przejechał go wozem, a mnie nawymyślał od sroczych ogonów.

— Sroooooczych... To mnie obraża. Gdzie on jest?

— O, tam jedzie, widzisz...
— Tak? To on... Dobrze!

Wróbel usiadł na gałązce krzaku. Tymczasem Tafaro ku nim się zbliżył.

— Proszę pana, — zwróciła się do niego sroka, — pan podobno nazwał białego wróbla sroczym ogonem?

— Nazwałem. Więc cóż z tego?

— Proszę zdjąć czapkę i przeprosić mnie...

Piwowar wzruszył ramionami.

Wtenczas sroka podleciała do niego i zerwała mu czapkę z głowy.

— Oddaj mi moją czapkę!... Oddaj czapkę!... — krzyczał pijany piwowar, uganiając się z batem za sroką.

Sroka usiadła wysoko na drzewie. Piwowar wdrapał się na drzewo, a sroka tymczasem z czapką w dziobie przeleciała na inne drzewo. Tafaro zlazł i zaczął wdrapywać się na drzewo po srokę, ta przeleciała znowu na inne.

Po drodze przechodzili w tym czasie drwale.

— Czego piwowar łazi po trzewach? — dziwili się.

Usiedli i przyglądali się. To jeszcze więcej złościło piwowara.

Biały wróbel też czasu nie tracił. Usiadł na beczce z piwem i zaczął dłubać korek. Korek był trochę spróchniały, więc robota szła szybko. Piwo wysadziło korek i fontanną lało się z beczki.

Tafaro nie mógł złapać sroki, więc dał jej spokój. Miał już jechać do domu, aż tu zobaczył tryskające z beczki piwo.

— Co za przygoda, — jęknął Tafaro.

— To jeszcze nie wszystko, — zawołał wróbel i usiadł na łeb konia.

— Poczekaj, niecnoto, — zakrzyczał ze złości Tafaro. Porwał drwalowi siekierę i zamierzył się nią na wróbla. Ten odleciał, a piwowar mocnem uderzeniem siekiery zabił na śmierć konia.

— Ach, — zawołał, — co ja zrobiłem.

— To jeszcze nie wszystko, — zawołał wróbel i odleciał.

Bez czapki piwowar ciągnął wóz z pustą beczką do domu.

. . . .

Żona piwowara Kleretta czekała na powrót męża i smażyła na obiad mięso. „Mąż lubi do mięsa piwo" — pomyślała. Odstawiła mięso i poszła do piwnicy. Weszła, odkorkowała beczkę z piwem... Wtem usłyszała jakiś dziwny szum, jakby tysiące ptaków trzepotały skrzydłami:

„Tobie ćwierć, mnie ćwierć, tobie ćwierć, mnie ćwierć".

Prędziutko wybiegła na podwórze, podeszła do śpichlerza i ledwo nie zemdlała z przerażenia:

Tysiące wróbli pożerały żyto i jęczmień. Zaczęła odpędzać napastników, ale nie mogła dać rady. Otworzyła okno, chciała przez nie wypędzić wróbli, tymczasem z ulicy wleciała jeszcze większa gromada. Zrozpaczona wybiegła na podwórko po kij, ale po drodze potknęła się o psa, trzymającego w zębach mięso z patelni. Zaczęła gonić psa, lecz ten uciekł do lasu. W drodze przypomniała sobie o niezakorkowanej beczce piwa, więc popędziła do piwnicy, a piwo zalało całą piwnicę.

— Co to się dzieje? — skarżyła się.

W tym czasie pijany piwowar ciągnął wóz na podwórze.

— Idź prędzej do spichrza, tysiące wróbli zjadają nasze ziarno, — wołała na męża.

Tafaro uzbroił się w kij i poszedł na walkę z napastnikami.

— O, rety, — zawył piwowar i zaczął wywijać kijem na wszystkie strony.

Raz-dwa, raz-dwa.

Dużo wróbli zapłaciło życiem za łakomstwo, ale większość odleciała. Piwowar dopiero teraz zobaczył swą stratę: trzy czwarte ziarna było zjedzone.

— Co to się dzieje! — zawołał piwowar.

— To jeszcze nie wszystko! — odezwał się biały wróbel, ukazując się nagle.

Piwowar cisnął w niego kijem, lecz kij upadł na głowę powracającego psa.

— Co to, kije z nieba sypią się na głowę? — pomyślał pies.

. . . .

Tafaro i Kleretta siedzieli w kuchni naprzeciw siebie smutni i zbiedzeni.

Mąż opowiadał żonie o wszystkich przygodach. Kleretta słuchała, milczała, ale przyznawała rację białemu wróblowi. Poco było zabijać psa. Ona tak go lubiła. Piwowar wzdychał, skarżył się, lecz był głodny.

— Dajno co zjeść, — powiedział do żony.

Wtenczas żona opowiedziała o swoich przygodach.

— To zbój, ten biały wróbel, — rzekł piwowar.

— To jeszcze nie wszystko! — odezwał się wróbel na drzewie przed oknem.

Tafaro rozgniewany złapał ławkę i cisnął nią w ptaka. Brzęk rozbitej szyby wypełnił izbę. Wróbel wleciał przez dziurę w oknie do kuchni, latał po izbie i ćwierkał:

— To jeszcze nie wszystko, to jeszcze nie wszystko.

Tafaro łapał sprzęty i ciskał w ptaka garnkami, rondlami, półmiskami, talerzami, stołami i nareszcie...

Tafaro złapał wróbla.

— Zabij go odrazu, — radziła żona.

Kleretta nie chciała patrzeć na męczarnie ptaszka.

— Nie... — syczał ze złości piwowar. — To za mało. Z początku wypalę mu oczy, powyrywam pierze, nogi, skrzydła. Rozpal w piecu pogrzebacz.

Wróbel trzepotał w rękach piwowara.

Wtem nastroszył piórka, podniósł głowę i krzyknął:

— Tafaro, życiem za to zapłacisz.

Piwowar zbladł, zatrząsł się i wypuścił wróbla. Kleretta w tym momencie podawała rozpalony pogrzebacz. Tafaro złapał się za pogrzebacz i upadł na podłogę.

Tafaro umarł. Kleretta kupiła wszystkie nowe sprzęty, a biały wróbel odleciał do lasu i do dziś dnia tam mieszka.

. . . .

Zdania o tej baśni są bardzo różnorodne. Jedni uważają tę baśń za nadzwyczajnie piękną, inni znowuż za tak straszną, że nigdyby nie odważyli się opowiadać dzieciom.

Jeśli baśń tę rozpatrywać z punktu widzenia etyki i moralności dorosłych, wówczas zobaczymy tu i zemstę i złą wolę i nieposzanowanie cudzej własności, okropne, straszne rzeczy, denerwujące dzieci i dużo, dużo innych „życiowych prawd".

Dziecko przeżywa baśń inaczej.

Dla niego biały wróbel odrazu staje się bohaterem. Ten, który nie ma przyjaciół, od którego wszyscy

się odwrócili, który może liczyć tylko na siebie, na własne swoje siły, — ten bohater *zwycięża*.

A jakież siły ma do zwycięstwa?

Nie te ujemne, któremi obdarzony jest byle wróbel, gdyż nie jest łakomy, nie można go nazwać złodziejem albo krzykaczem.

Sam jeden na świecie!

To ten, dla którego mimowoli rośnie współczucie, a jest biały, jasny i odważny, jest uosobieniem wszystkiego, co jest dobrem i pięknem.

To też biały wróbel odrazu staje się ulubieńcem. Uwaga całkiem skierowana na losy wróbla i czytający, czy słuchający pilnie uważa, co też się stanie z wróblem.

Biały wróbel nie jest w życiu sobkiem: szuka przyjaciela.

Pragnienie przyjaźni jest najlepszem, najpiękniejszem uczuciem...

Brak przyjaciela bardzo martwi wróbelka:

— Bez przyjaciela nie można żyć na świecie. Lepiej umrzeć.

Jest silnym, rozumnym i sprytnym i na zwątpienie przyjaciela kundla:

— Co ty mi możesz pomóc?

Śmiało odpowiada:

— Może ci co pomogę. Zobaczymy potem.

I pomaga. Stara się uratować życie psa, walczy bohatersko za wyrządzoną przyjacielowi krzywdę.

Z treści baśni widzimy, że osioł, wół, koń, wilk, lis i niedźwiedź dużo stracili nie przyjmując przyjaźni takiego rycerza, jakim okazał się wróbel.

Jest on uosobieniem dobra, siły, męstwa i piękna.

Niesmak wywołują kpiny i drwiny innych wróbli, biały rycerz spaceruje dumny ze swego przyjaciela. Dziecko jest po stronie białego wróbla, nie po stronie

całej tłuszczy wróbli, którzy nie rozumieją, jakie to wielkie uczucie — przyjaźń.

W imię tego uczucia wróbel *ogłasza wojnę*.

To nie jest akt *zemsty*. Dziecko nie zna tego uczucia. Później wchodząc do społeczeństwa dorosłych, poznaje uczucie zemsty.

Ogłoszenie wojny piwowarowi jest to początek walki dobra ze złem, gdyż piwowar jest uosobieniem zła.

On to śmierć zadaje staremu, niedołężnemu psu, on jest zły i wiecznie pijany, nie szanuje uczucia przyjaźni, boć wróbel użył wszystkich środków, by uprzedzić zły postępek. Błagał, prosił, molestował, przekonywał, starał się obudzić w tym człowieku uczucie wdzięczności i litości do starego i wiernego sługi, którego lubiła i żałowała Kleretta.

Nic nie pomogło.

Zło zaczęło swą niszczycielską pracę. Zaczęło zabijać najpiękniejsze uczucia.

— Niegodziwcze, tyś zabił mego *przyjaciela!*

Ohydny czyn napełnia wstrętem każdą szlachetną duszę (a taką jest dusza dziecka).

Tylko wstręt można czuć do tego, kto nie szanuje cudzego uczucia.

Nawet Sroka — trajkotka bierze udział w walce ze złem w obronie tych uczuć. Już niema czasu na drwiny i kpiny.

Oddziały wróbli lecą na walkę z piwowarem, jakkolwiek tak niedawno jeszcze nie uznawały białego wróbla za wróbla, a z przyjaciela kpiły. Teraz i one zobaczyły, gdzie jest prawda. To przecież nie jest tylko przekupienie ziarnem.

Raz tylko człowiek postąpi niewłaściwie, a już skala swą duszę i coraz głębiej pogrąża się w bagnie złego, traci rozum, uczciwość. W walce z dobrem

wszystko psuje, wszystko łamie, sam sobie zatruwa życie, sam sobie szkodzi i nie widzi tego.

Piwowar zniszczył wszystkie sprzęty, połamał meble, złamał życie swoje i śmierć jest naturalnym końcem.

Dobro zawsze zwycięża. Czy wcześniej, czy później a musi zwyciężyć i w chwili, gdy...

Tafaro złapał białego wróbla, dziecko odczuwa przykrość chwilowego niepowodzenia dobra i piękna, ale mocno jest przeświadczone, że piwowar nie potrafi zabić śmiałego rycerza. Coś się stanie, a wróbelek i tym razem zwycięży.

To oczekiwanie napełnia serce bezgraniczną radością i ulgą, gdy wróbel powiada:

— Tafaro, życiem za to zapłacisz!

To był silny, tytaniczny głos zwyciężającego dobra, żywotnej, pięknej prawdy. Obok takiej siły nie może żyć zło i samo przez się ginie. Baśń wzbudza otuchę, siłę, radość, piękno, pogodę i zadowolnienie ze zwycięstwa dobrej siły.

Dzieci bardzo lubią tę baśń.

Karakol — Bistekol

(Z bajek flamandzkich)

I.

Było to dawno, dawno.

Po lasach Belgji przechadzał się wtenczas lew, niedźwiedź i pantera.

We wsi Wodrez około miasta Binsza mieszkał

garbus, miotlarz. Chodził do lasów, ścinał gałęzie, robił miotły i sprzedawał. Z tego utrzymywał starą matkę.

Nazywał się Karakol.

Po flamandzku znaczy to ślimak. I rzeczywiście Karakol był bardzo podobny do ślimaka.

Garbus, krzywonogi, powoli się posuwał.

Jak ślimak.

Wszyscy z niego kpili, żartowali, przezywali: Karakol, Karakol.

Dawno, dawno jakaś wróżka przepowiedziała małemu garbuskowi: „Ożeni się z królewną, gdy garb będzie miał pod nosem".

Wszyscy się z tego śmieli.

Ile razy Karakol bywał w Binsza i przechodził koło hotelu Firene Simolle, tyle razy właściciel hotelu widząc go śpiewał:

Ślimak, ślimak,
Pokaż rogi,
Dam ci grosik
Na pierogi.

Karakol nie gniewał się. Czasami nawet chodził po lesie i sam nucił:

Ślimak, ślimak,
Pokaż rogi,
Dam ci grosik
Na pierogi.

Wszyscy się śmieli z Karakola, a jednak go lubili.

Inaczej było z drugim garbusem, też potwornie śmiesznym.

Był to „seneszal", to znaczy ważny urzędnik barona Binsza.

Nazywał się De-Melikorn, ale wszyscy przez żart przezywali go Bistekolem.

Szlachcic-urzędnik bardzo się gniewał za te żarty i nie znosił przezwiska.

„Podobny jestem do Karakola, dlatego przezywają mnie Bistekolem" — myślał nieraz rozgniewany.

To też nie lubił Karakola.

Pewnego dnia Bistekol postanowił zabić Karakola. Tak go znienawidził.

— W lesie rozmnożyły się drapieżne zwierzęta. Trzeba wykopać głębokie doły i przykryć gałęziami i liśćmi — rozkazał służbie.

Na jeden dół Bistekol sam wybrał miejsce w lesie. W tem miejscu Karakol nad ranem codziennie ścinał gałęzie na miotły.

Nazajutrz rano Bistekol poszedł do lasu obejrzeć doły. Czy wszystko wykonane jest podług jego planu i rozkazu.

— Tu wpadnie Karakol, złamie sobie garb i nazawsze pozbędę się tego nędzarza — marzył Bistekol i postąpił parę kroków naprzód...

Trach... Trach...

Gałęzie pod nim załamały się i Bistekol wpadł do głębokiego dołu. Ale się nie zabił.

— Ratunku, ratunku — dochodziło z przepaści.

Las milczał. Nikt z pomocą nie przychodził.

Po chwili Bistekol usłyszał jakiś szmer. Z przerażeniem zobaczył wpadającego do dołu zająca. Niebawem wpadł niedźwiedź, a po jakimś czasie lew.

Bistekol o mało nie umarł ze strachu i przerażenia. Przyczaił się i słyszy:

Ślimak, ślimak,
Pokaż rogi,
Dam ci grosik
Na pierogi.

„To pewno miotlarz przyszedł" — przewinęło mu się przez myśl — „ale jakże tu prosić o pomoc takiego nędzarza?"

— Ratunku, ratunku — zaczął pomimo to wołać.

— Kto tam? — spytał Karakol, zaglądając do dołu.

— Ja, wielki seneszal — odpowiedział głos z przepaści — spuść tu długi sznur, byle prędzej. Muszę wyleźć z tego przeklętego dołu.

— Nie mam przy sobie takiego sznura. Proszę trohcę zaczekać, skoczę do domu.

— Ale prędzej, prędzej. Śpiesz się, biegnij... W dole pełno drapieżnych zwierząt. Cudem jeszcze żyję. Prędzej...

II.

Miotlarz pobiegł czemprędzej do domu. Odwiązał sznur od studni i zdyszany popędził do lasu. Zrobił pętlę i spuścił sznur do dołu. Z wysiłkiem ciągnął coś ciężkiego.

— Ale pan ciężki — wołał.

— Przecież nie mnie ciągniesz. Tylko lwa.

— Fu, do licha, lwa? — przeraził się Karakol i puścił sznur.

— Co ty robisz? — błagalnym głosem zakrzyczał Bistekol.

— Chcę wyciągnąć pana, a nie lwa... Niech się pan chwyci sznura.

— Nie mogę.

— Dlaczego?

— Ciągnij że prędzej — niecierpliwił się. — Lew nie puszcza. Wyciągnij wpierw jego.

— A jak on mnie pożre? Przecież jestem jedynym żywicielem mojej matki.

— Ciągnij. Przyrzekam ci: ani ty, ani twoja matka nie zaznacie głodu. Ratuj mnie tylko. Zdaje mi się, że lew traci już przez ciebie cierpliwość.

„Lew może raczej zjeść Bistekola — myślał Karakol. — Ja jakoś uniknę zębów drapieżnika".

Przywiązał sznur do drzewa i zaczął ciągnąć.

Lew ukazał się z przepaści.

Karakol szybko schował się za drzewo.

— Dziękuję ci — powiedział król zwierząt. — Wkrótce dam ci dowód mojej wdzięczności.

Szybki skok i lew zniknął w gęstym lesie.

— Teraz na pana kolej — krzynął Karakol do seneszala.

Spuścił sznur, lecz wyciągnął niedźwiedzia.

— Dziękuję — powiedział niedźwiedź, — odwdzięczę ci się kiedyś.

— Teraz kolej na mnie — zawołał Bistekol.

Tymczasem Karakol zobaczył w dziupli drzewa muchę, miotającą się w pajęczynie. Nieszczęśliwa przeraźliwie brzęczała. Pająk już podbiegał do niej.

— Ciągnij-że prędzej — krzyczał Bistekol.

Karakol przerwał pajęczynę, uwolnił muchę i ta poleciała.

— Ciągnij prędzej — poganiał seneszal.

Miotlarz spuścił sznur i wyciągnął Bistekola.

— Zadługo kazałeś mi czekać — krzyczał zagniewany Bistekol.

— Przepraszam pana. Musiałem ratować wpierw innych.

— Kogo?

— Muchę. Pająk już dobiegał do niej...

— Też usprawiedliwienie — oburzył się seneszal.

Nie podziękował i odszedł.

Karakol zabrał się do zbierania gałęzi na miotły.

A mnie nie wyciągniesz z tej przepaści? — posłyszał Karakol czyjś cieniutki głosik.

— Czy tam jest ktoś jeszcze?

— Jest i błaga o ratunek.

Miotlarz spuścił sznur i wyciągnął zająca.

— Dziękuję ci bardzo — rzucił zając i umknął do lasu.

— Pół dnia zmarnowałem — powiedział dobrodusznie miotlarz. — Trzeba się śpieszyć. Zostanę bez zarobku. Matka moja nie może być głodna z powodu niedołęstwa innych.

Miotlarz zaczął ścinać gałęzie i w pośpiechu mocno skaleczył się nożem. Musiał wracać do domu i opatrzyć ranę.

Przez cały dzień nie mógł pracować i na drugi dzień został bez kawałka chleba.

III.

Był tem bardzo stroskany.

— Dlaczego nie pójdziesz do seneszala? — spytała go matka.

„Słusznie — pomyślał miotlarz — seneszal obiecał nam pomóc".

I poszedł.

Stanął przed bramą, zapukał nieśmiało.

— Do kogo? — spytał odźwierny.

— Chciałbym się widzieć z panem seneszalem.

— Pan seneszal nikogo nie przyjmuje.

— Wczoraj spotkałem go w lesie. Pewno przypomni sobie i przyjmie mnie.

Odźwierny powiedział o tem Bistekolowi.

— Łże, gałgan — rozgniewał się seneszal — wcale go nie znam.

Odźwierny powtórzył to miotlarzowi.

— Seneszal jest dziś w złym humorze. Zaczekam do jutra.

Nazajutrz miotlarz znowu poszedł do pałacu. Odźwierny zameldował go seneszalowi.

Bistekol, wściekły ze złości, z kijem w ręku wypadł za drzwi i zaczął bić Karakola.

Miotlarz nieprzytomny upadł na ziemię. Przechodnie zanieśli go do domu. Długo matka pielęgnowała chorego. Musiała sprzedać wszystkie rzeczy.

Z tego żyli.

IV.

Po chorobie poszedł Karakol do lasu ścinać gałęzie. Około znanego już mu dołu spotkał lwa. Przerażony stał Karakol przed królem zwierząt.

— Czekaj na mnie w tem miejscu — powiedział lew i znikł w lesie.

Miotlarz poznał króla zwierząt. Jego to uratował wówczas z dołu.

Nie długo lew powrócił.

W zębach niósł worek złotych florenów. Położył go u nóg swego zbawcy i rzekł:

— Złodzieje schowali worek pod kupą zeschłych liści.

Miotlarz podziękował drapieżnikowi i wrócił do domu.

Pieniędzy tych wystarczyło na życie Karakola z matką. Miotlarz już nie sprzedawał mioteł. Nie robił nic.

Życie bez pracy sprzykrzyło mu się szybko.

Pewnego razu siedział w lesie i ćmił fajkę. Patrzył na skaczące po drzewach i budujące gniazda ptaki. Wtem zjawił się przed nim lew.

— Nudne jest życie bez pracy — rzekł Karakol — chciałbym wędrować z tobą po całym świecie.

Lew się zgodził.

Nazajutrz Karakol pożegnał matkę, poszedł do lasu i w towarzystwie lwa wybrał się na wędrówkę.

Po drodze spotkali niedźwiedzia, niedługo potem zająca. Tak chodzili po miastach, wsiach, osadach i zarabiali na kawałek chleba.

Lew i niedźwiedź tańczyli, zając grał na bębnie, a Karakol zbierał od słuchaczy pieniądze.

V.

Pięć lat wędrował Karakol po świecie. Nareszcie zapragnął wrócić do swego miasta. Opuścił zwierzęta i skierował się do matki. Przywitał się, opowiedział o swoich wędrówkach i wyszedł na miasto. Miasto było przystrojone czarnemi chorągwiami. Panowała żałoba.

Karczmarz Firene Simolle stał, jak dawniej, we drzwiach swego hotelu. Zobaczył Karakola, lecz już nie śpiewał:

Ślimak, ślimak,
Pokaż rogi,
Dam ci grosik
Na pierogi.

— Dlaczego w mieście panuje żałoba? — zapytał Karakol.

— Jakto, nie wiesz o naszem nieszczęściu? — zdziwił się Firene — Jutro musi zginąć córka barona Binsza, piękna Eglantina.

— Czy jest niebezpiecznie chora?

— Zdrowa i piękna, ale musi zginąć.

— Dlaczego?

— Niedaleko stąd w mieście At żyje wielkolud.

— Jak się nazywa?

— Goljat. Olbrzym niezwykłej siły. Wyrywa drzewa z korzeniami. Palcami dusi lwy i niedźwiedzie. Chodzi po miastach i zbiera domy do worka; dachy zrywa bez trudu jak matka twoja zdejmuje pokrywę z rondla. Zniszczyłby wszystko, ale mieszkańcy błagają go ciągle o łaskę. Próbowano wysyłać przeciw niemu wojska. Stawał do walki zakuty w stalowe pancerze. Strzały odskakiwały od jego kirysa (zbroja na piersiach i plecach). Z olbrzymim dębem w ręce wpadał na wojsko i jednem uderzeniem zabijał dziesięciu. Reszta w przerażeniu uciekała. Zmusił mieszkańców by przywieźli ziemię, usypali olbrzymią górę i obsadzili drzewami. Na szczycie tej góry musieli mu wybudować olbrzymią wieżę. Tam teraz mieszka. Żywi się z polowania i z podatków od mieszkańców. Co roku musi pożreć młodą dziewczynę. W tym roku los padł na piękną Eglantinę i jutro uroczyście odwiozą ją na górę do Goljata.

— Czy nikt nie próbował — zapytał Karakol — siłą lub zręcznością pokonać olbrzyma?

— Kto zabije olbrzyma, ten weźmie Eglantinę za żonę — ogłosił baron. Nikt jeszcze nie odważył się na walkę z Goljatem.

— Czyż nie mają serca, ani rozumu? — odezwał się Karakol.

— Chciałbym zobaczyć ciebie bijącego się z olbrzymem — zadrwił Firene. — Istotnie! jesteś podobny do litery B i pewno jesteś chytry. Możebyś potrafił przebiegłością pokonać Goljata.

— Niewiadomo — odezwał się Karakol. — Wielki dąb pada od uderzenia małego człowieka.

Firene zaśmiał się i drwił dalej z małego garbusa.

Karakol nie zwracał uwagi na drwiny i poszedł do domu.

VI.

Nazajutrz raniutko Karakol wstał, ubrał się, zdjął ze ściany łuk i strzały.

— Czy nie wybierasz się przypadkiem na turniej łuczny? — zapytała go matka.

— Owszem, mamusiu — odpowiedział — zdobędę nagrodę, a ty upieczesz wtenczas tort. Spędzimy czas bardzo przyjemnie.

I wyszedł do lasu.

W lesie gwizdnął, a zwierzęta się zbiegły.

Lew, niedźwiedź i zając usiedli rzędem, Karakol przemówił:

— Przyjaciele, musimy się zdobyć na bohaterski czyn. W okolicy zjawił się olbrzym. Pożera on młode dziewczęta. Cały kraj liczy na nas i czeka od nas zbawienia. Czyż nie damy mu rady we czworo...

— We czworo — odezwał się lew. — Sam jeden z nim skończę.

— Nie — odparł Karakol — olbrzym jest zakuty w stalowe pancerze i jest bardzo silny. Palcami dusi lwy. Odwagą tu nic nie można zrobić, trzeba go wziąć zręcznością.

— Ja tu mogę pomóc — powiedział zając — trzeba obejrzeć jego mieszkanie, a będziemy wiedzieli co robić.

Wszyscy czterej poszli do wieży Goljata. Przed górą rozeszli się i z różnych stron na nią wstępowali.

Na szczycie zobaczyli wieżę. Zając obiegł ją prędziutko, obejrzał wszystkie miejsca, chwilkę pomyślał i coś szepnął na ucho towarzyszom.

Olbrzym tymczasem ubierał się. Wciągnął żelazne buty i nakolanki, założył karacenę (pancerz zrobiony w łuskę)...

Miał jeszcze włożyć przyłbicę na głowę...

Wtem posłyszał jakiś szmer. Spojrzał w okno i zobaczył zająca. Ten jak strzała biegał wokół wieży. Za zającem biegł niedźwiedź, za niedźwiedziem — lew. Olbrzym zanosił się od śmiechu. Tymczasem zwierzęta znowu przebiegły koło okna.

Podobało się Goljatowi to bieganie.

„Dlaczego nie miałbym skorzystać ze zwierzyny" — pomyślał olbrzym. Wyszedł z wieży i stanął za drzwiami. Zwierzęta po raz trzeci przebiegały. Olbrzym wychylił się i wyciągnął długą rękę. Jedną garścią chciał pochwycić lwa, niedźwiedzia i zająca.

Wtem w powietrzu przeleciała strzała i utkwiła głęboko w oku olbrzyma. Podniósł ręce do oka i wyciągnął strzałę. Tymczasem lew wskoczył mu na szyję. Niedźwiedź złapał go za nogę i tak obaj zwalili na ziemię olbrzyma.

Runął z łoskotem jak wieża, trzy razy podnosił się razem ze zwierzętami i omal nie pokonał ich. Ale Karakol podbiegł do olbrzyma i zabił go jednem uderzeniem sztyletu.

VII.

Księżniczka szła wolnym krokiem. Za nią postępował orszak dworski. U podnoża góry Eglantina pożegnała się z ojcem i poszła na górę.

Wszyscy wrócili. Nikt nie mógł patrzeć na męczarnie księżniczki. Został tylko Bistekol. Nienawidził on księżniczki. Chciał widzieć jak ją poźre potwór.

Eglantina posuwała się z trudem. Stawała koło każdego drzewa. Stanęła. Szukała olbrzyma, lecz nie widziała. Zrobiła kilka kroków naprzód... Na spotkanie jej wyszedł Karakol.

Księżniczko — odezwał się — nie obawiaj się niczego. Olbrzym już nie żyje.

— Biorę cię za męża — rzekła uradowana księżniczka.

Zdjęła z szyi korale, złotą sprzączkę dała lwu, a resztę podzieliła między zwierzęta. Karakol dostał chusteczkę z imieniem księżniczki.

Garbus obciął koniec języka olbrzyma, owinął chusteczką i schował do kieszeni.

Należało teraz odprowadzić księżniczkę do ojca.

— Pozwól mi zasnąć, jestem tak bardzo zmęczona.

— Odpocznij, księżniczko, będę czuwał nad tobą — odpowiedział Karakol.

Księżniczka położyła się na trawie i zaraz zasnęła. Karakol usiadł przy niej, zapalił fajkę i czekał przebudzenia się pięknej Eglantiny.

Był jednak bardzo zmęczony, a sen zamykał mu powieki.

— Prześpię się trochę — powiedział do lwa — czuwaj ty. Może ktoś napaść znienacka.

Karakol zasnął.

Lew czuwał, ale był też zmęczony walką z olbrzymem. Zawołał niedźwiedzia i rzekł:

— Czuwaj, Misiu kochany. Ja na chwileczkę zdrzemnę się. W razie jakiegoś napadu zbudź mnie natychmiast.

Niedźwiedź czuwał. Był niemniej zmęczony.

Zawołał zająca.

Czuwaj. Ja prawie śpię. Tak jestem zmęczony. Cokolwiek się stanie zbudź mię natychmiast.

Zając biegał wokoło wieży i zmęczył się więcej niż jego towarzysze. Więc też zasnął.

VIII.

Bistekol nie widział ani olbrzyma, ani księżniczki.

— Może się stało coś nadzwyczajnego? — pomyślał, ale bał się iść na górę. Ciekawość była jednak większa od strachu i seneszal ostrożnie zaczął się wspinać ku wieży.

Przerażenie owładnęło nim na widok trupa olbrzyma. Tuż niedaleko zobaczył śpiące zwierzęta, Karakola i księżniczkę.

— A, księżniczka! — zawołał. — Nie lubisz mnie garbusa, a Karakol garbus ma być twoim mężem? Będzie garbus, lecz nie ten.

Bistekol dobył miecza i odrąbał głowę Karakola. Tym samym mieczem odrąbał głowę olbrzyma.

Jako dowód mego zwycięstwa nad olbrzymem zaniosę tę głowę — pomyślał.

Wziął na ręce śpiącą księżniczkę i trzymając za włosy głowę olbrzyma schodził z góry.

Głowa jednak była za ciężka. Rzucił ją więc na ziemię.

Był u podnoża góry. W tem księżniczka się obudziła.

— Co pan tu robi — zapytała — i gdzie jest mój zbawca?

— Ja jestem twoim zbawcą — odrzekł seneszal.

— Nie — zaprzeczyła księżniczka. — Tamten nie był podobny do pana. Pan nie będzie moim mężem.

— Zobaczymy — odrzekł spokojnie Bistekol, dobył miecza i zagroził: — Albo w tej chwili zabiję cię, albo uznasz mnie za swego zbawcę i potwierdzisz to wobec ojca.

I księżniczka była zmuszona potwierdzić.

W tym czasie przejeżdżał koło nich handlarz, który wiózł wiśnie.

— Zamienię wiśnie na stare żelazo — wykrzykiwał.

Bistekol zatrzymał handlarza, położył na wóz głowę olbrzyma, posadził księżniczkę, sam wsiadł i kazał wszystkich zawieść do pałacu barona de Binsza.

Radość ojca nie miała granic.

— Zabiłem olbrzyma i uratowałem księżniczkę — powiedział Bistekol. — Żądam teraz ręki pięknej Eglantiny.

— Należy ci się — odpowiedział de Binsz. Nie chciał jednak oddawać córki Bistekolowi, więc spytał.

— A ty się zgadzasz?

— Muszę się zgodzić — odpowiedziała księżniczka.

— W jaki sposób mógł mnie porwać ten potwór? — pomyślała z żalem.

IX.

Zwierzęta ciągle spały. Podleciała do nich duża mucha i usiadła na nosie zająca. Zając nie otworzył oczu, spędził muchę i znów zasnął. Mucha jednak znowu usiadła na nosie zająca. Zając ją odpędził i jeszcze mocniej zasnął. Mucha przyleciała poraz trzeci i wlazła mu do nosa. Zając kichnął i obudził się.

— Zaspałem, zdaje się. Trzeba obudzić resztę.

Zając obudził niedźwiedzia. Niedźwiedź lwa. Lew zobaczył martwego Karakola i szukał księżniczki.

— Kto odrąbał głowę naszemu panu? — ryknął lew w gniewie aż góra się zatrzęsła. — Niedźwiedziu, dlaczegoś mnie nie obudził?

Rozgniewany niedźwiedź ryczał:

— Zającu, dlaczegoś nie obudził?

Biedny zając nie mógł nic odpowiedzieć. Towarzysze gotowi go byli rozszarpać.

— Wysłuchajcie mnie — błagał zając. — Obiecuję przywrócić życie Karakolowi.

— W jaki sposób? — zapytał lew.

— Niedaleko od miasta Turne na górze znam miejsce. Rośnie tam trawa. Korzeń tej trawy ma cudowne własności: wziąć go w usta, a wszelkie rany natychmiast się goją.

— Biegnij prędzej i przynieś ten korzeń — rzekł lew.

Za chwilę zając przyniósł korzeń.

Lew przystawił Karakolowi głowę do tułowia, zając zaś włożył do ust korzeń. Karakol otworzył oczy, westchnął i kichnął.

— Ach! dobrze się wyspałem — rzekł przeciągając się.

— Gdzie jest księżniczka? Coście z nią zrobili? — zapytał po chwili.

— Wszyscy zasnęliśmy — odpowiedział lew. — Bardzo mocno spaliśmy tymczasem księżniczka zginęła.

— Pewnie uciekła, myślał Karakol — bała się wyjść zamąż za takiego garbusa.

Karakol odczuł krzywdę. Nie chciał iść do barona prosić o rękę księżniczki.

Pożegnał się ze zwierzętami i poszedł do matki.

X.

W samo południe garbus przyszedł do domu. Na stole stała gorąca zupa, ale matki w domu nie było. Karakol był bardzo głodny. Przysiadł do stołu i zabrał się do jedzenia.

Wziął łyżkę zupy, ale nie mógł znaleźć własnych ust. Głowa była przekręcona twarzą do garbu.

— Jak to się stało? — zapytywał siebie. — Czy nie stało się ze mną coś dziwnego we śnie?

Poszedł do lasu i zapytał lwa.

— Jak to się stało? — Dlaczego mam twarz odwróconą ku tyłowi?

— Przeklęty sen — rzekł lew. — Wszystko stało się w czasie naszego snu. Obudziłem się i znalazłem swego pana bez głowy. W tejże chwili posłałem zająca po korzeń życia i z pośpiechu źle przystawiłem głowę.

— Przykre to i niewygodne przy jedzeniu — spokojnie odrzekł Karakol.

— Nie gniewaj się, panie — odrzekł lew. — Naprawię to w tej chwili.

Lew oderwał głowę garbusowi, włożył mu do ust korzeń i znów przystawił głowę. Tym razem głowę dopasował dobrze.

Tymczasem wróciła do domu matka Karakola.

Chodziła do sklepiku i dowiedziała się tam o wszystkich nowinach.

— Wiesz — odezwała się do syna — podobno olbrzym został zabity przez rycerza. Odwiózł on córkę barona do pałacu.

— Któż jest tym rycerzem? — zapytał Karakol z udanem zdziwieniem.

— Tego nikt nie wie. Pójdź do Binsza to się dowiesz.

— Pójdę jutro — odpowiedział.

I w tej chwili przypomniał sobie przepowiednię wróżki:

Przecież miał przed chwilą garb pod nosem.

XI.

Nazajutrz garbus udał się do lasu, zwołał swoje zwierzęta i poszedł z niemi do Binsza.

Miasto było przybrane kolorowemi chorągwiami.

Karakol wstąpił do hotelu Firene Simolle.

— Dlaczego miasto odświętnie przybrano? — zapytał.

— Dlaczego? Przecież dziś zaręczyny księżniczki.

— Z kim? Za kogo wychodzi zamąż?

— Nie wiesz? — oburzał się Firene. — Za seneszala Bistekola.

— A czyż to on zabił olbrzyma?

— A jakże. Jako dowód przyniósł głowę olbrzyma.

„Ona wychodzi zamąż za Bistekola — pomyślał garbus — a przecież Bistekol jest potworniejszy ode mnie. Księżniczka powinna pamiętać o swoim zbawcy. Dobrowolnie, czy przymusowo idzie za niego?"

— Zrobiłeś się właścicielem zwierzyńca? — zapytał Firene Simolle.

— Tak.

— Świetnie, — ucieszył się Firene. — Teraz zaczną się święta. Czy twoje zwierzęta są dobrze wytresowane?

— Zaraz zobaczysz — odpowiedział garbus. — Zjemy obiad w twoim hotelu. Tylko nie będziemy jedli twoich potraw.

— A jakież?

— Z kuchni barona.

— Ho, ho — zaśmiał się Firene. — Dostań tylko ten obiad.

— Zwierzęta pójdą i przyniosą.

— Żartujesz, — odrzekł Firene.

— Siadaj, i ty zjesz z nami. — I Karakol zwrócił się do zwierząt.

— Pójdźcie do księżniczki i poproście dla mnie o pieczyste przeznaczone dla samego barona.

— Idziemy, — krzyknął zając i pobiegł.

Zapomniał jednak o miejskich psach. Za nim

biegła zgraja przeraźliwie skowyczących i szczekających psów.

Zając przybiegł do pałacu, prześlizgnął się niewidocznie za bramę. Zgraja psów rzuciła się do bramy, lecz stróż kijami odpędził napastników.

W pałacu zając szukał księżniczki. Długo szukał, aż zobaczył ją siedzącą przy oknie. Wszedł tedy do jej pokoju przez otwarte drzwi i leciutko dotknął nogi.

— Idź precz — krzyknęła księżniczka.

Zając znowu dotknął łapką nogi księżniczki. Księżniczka i tym razem go odpędziła. Za trzecim razem spojrzała i poznała zająca po koralach na szyi.

Wzięła go na kolana i pogłaskała.

— Czego chcesz, zajączku? — zapytała.

— Władca mój, zwycięzca olbrzyma prosi o pieczyste na obiad. Ale o pieczyste przeznaczone dla samego barona.

W tym czasie na podwórzu pałacu zjawili się lew i niedźwiedź. Oni również powtórzyli prośbę Karakola.

Ucieszona księżniczka posłała po kucharza i rozkazała wydać zwierzętom najlepsze, przygotowane dla barona, pieczyste.

Księżniczka kazała odnieść do hotelu pasztety, tłustego kapłona, kosz pierników, pierogów, wiśnie, maliny, brzoskwinie i pomarańcze. Prócz tego posłała 6 butelek najlepszego wina.

— Czy nie może kucharz zabrać także mnie — poprosił zając — psy miejskie nie dają mi przejść spokojnie.

XII.

Z zającem w ręku szedł kucharz przez ulicę. Za nim kroczył szereg kuchcików. Jedni nieśli pieczyste, inni pasztet, inni kapłona, pierniki i t. p.

Lew i niedźwiedź zamykali orszak.

Wtem lew poczuł pragnienie, wypił więc butelkę wina i zaczął kręcić nogami w różne strony. Mieszkańcy miasta patrzyli z okien na tę procesję i zanosili się ze śmiechu.

Niedźwiedź nie mógł wytrzymać na widok słodkich ciastek i zajadał żarłocznie. Wywołało to wybuch śmiechu i okrzyki radości widzów.

— Dziś wielkie święto, — rzekł niedźwiedź. — O, ile gapiów w oknach.

Chwycił garść pomarańcz i cisnął w jednego z gapiów.

— Na niedźwiedzia! — zabrzmiało w powietrzu i z otwartych okien posypał się grad pomarańcz. Misio był bardzo zadowolony. Chwytał pomarańcze i tuzinami zjadał w oczach gapiów.

Kosz był jednak pełen pomarańcz — tyle bowiem rzucali.

Firene Simolle był przerażony na widok wszystkich potraw.

Zając zeskoczył z rąk kucharza na ręce Karakola.

— Widziałeś księżniczkę? — spytał cicho.

— W jej pokoju, panie.

— Jak wyglądała?

— Była smutna. Potem poznała mnie i oczy jej zajaśniały.

Karakol uspokoił się, prosił kucharza, by podziękował księżniczce, i zwrócił się do Firene.

— Mamy nietylko pieczyste, ale cały obiad barona. Siadaj, uraczymy się.

Było samo południe, więc wszyscy usiedli i dobrze sobie podjedli.

— Najadłem się, napiłem, teraz pójdę do pałacu prosić o rękę księżniczki.

— Tego już zadużo — zawołał Firene. — Księżniczka nie wyjdzie za takiego garbusa. Co ty sobie myślisz?

— A dlaczego wychodzi za Bistekola?

— Więc tembardziej nie może wyjść za ciebie.

— Może zmieni swój zamiar — odpowiedział garbus. — Mam na to sposób.

Garbus wyjął z kieszeni chusteczkę księżniczki.

— Co pomoże chusteczka? Wpuszczą cię jak psa do kościoła.

XIII.

W pałacu tymczasem odbywały się zaręczyny. Wszyscy siedzieli przy ogromnym stole. Była wielka uroczystość. Bistekol siedział obok pięknej Eglantiny. Jak ślimak koło róży.

Rozmowa przy stole była nudna. Baron nie był zadowolony z narzeczonego córki. Kochał ją bardzo.

— Co to za zwierzęta przychodziły dziś do ciebie? — zapytał.

— Przychodziły z rozkazu swego pana zobaczyć się ze mną.

— A znasz ich pana?

— Znam i radzę, byś i ty poznał. Zaproś go na kufel piwa, a poznasz. Nie będziesz żałować.

— O jakich to zwierzętach rozmawiacie? — spytał Bistekol.

— Dowie się pan później — odpowiedziała.

— Tu jest jakaś tajemnica — pomyślał baron. — Trzeba wysłać do hotelu karetę.

Karakol pokazywał właśnie Firenowi chusteczkę. W tym czasie zajechała kareta.

— Widzisz — powiedział garbus — baron przysyła po mnie karetę. Narzeczony jego córki może tylko w karetach jeździć.

Wsiadł do karety, a zwierzętom swoim rozkazał iść za sobą.

Baron wyczekiwał i ciągle spoglądał na ulicę.

— Jak go przyjąć? — spytał córkę.

— Spotkać przy wejściu — odpowiedziała — nie będziesz tego żałował.

Baron spotkał Karakola bardzo uroczyście i równie uroczyście wprowadził go ze zwierzętami do salonu i posadził przy stole naprzeciwko córki. Zwierzęta usiadły wokoło stołu.

Bistekol szczękał zębami.. Poznał odrazu nędzarza-garbusa.

— Jak mógł on przywrócić sobie życie? — myślał ciągle. — Przecież odrąbałem mu głowę.

— Czegóż pan drży? — zwróciła się księżniczka do Bistekola.

— Tak, pan nie jest podobny do szczęśliwego narzeczonego — dodał baron. — Czyżby pan dostał febry na widok tych zwierząt?

— Może na widok ich pana? — zapytała księżniczka.

— Nie boję się ani zwierząt, ani ich pana. Nie znam ich wcale.

— Krótką ma pan pamięć — rzekł wtenczas Karakol. — Przecież pan siedział w głębokim dole razem z temi zwierzętami. Wyciągnąłem wtenczas pana.

— Pan wpadł do dołu? — zapytał baron.

— Nie pamiętam tego.

— Nie pamięta pan, jak mi odrąbał głowę?

— Nie odrąbałem. Najlepszym dowodem tego jest pan sam, żywy i z głową na szyji.

— Słusznie — potwierdził baron.

— Głowę mi nanowo przystawili. Mogę natychmiast przyprawić głowie olbrzyma brakujące jej części. Poprosił, by wnieśli głowę.

Baron kazał wnieść głowę olbrzyma.

XIV.

Czego brakuje głowie? — zapytał Karakol. — Pan najlepiej wie — zwrócił się do Bistekola, — zabiłeś przecież olbrzyma.

— Wybitego przezemnie lewego oka.

— A jeszcze czego?

— Jeszcze?...

— A tak. Brakuje jeszcze języka.

I Karakol wyjął chusetczkę z zawiniętym koniuszkiem języka.

— Pan mógł odciąć koniuszek języka po zabiciu olbrzyma przez seneszala.

— Ja zabiłem olbrzyma. Po zabiciu wszyscyśmy zasnęli, a seneszal odrąbał mi głowę i zabrał głowę olbrzyma. Zaraz dowiodę tego.

Karakol włożył korzeń życia do ust olbrzyma. Oko w głowie zaczęło mrugać. Głowa spokojnie popatrzyła na seneszala, a złością zabłysło oko na widok Karakola. Karakol wyjął korzeń z ust głowy.

— Widzicie teraz nienawiść olbrzyma do mnie. A komu córka pana oddała tę chusteczkę?

— Zwycięzcy olbrzyma — odpowiedziała.

— A te korale?

— Zwierzętom.

— Pani przysięgała milczeć o tem wszystkiem! — zawołał seneszal.

— Nie powiedziałam też, kto jest zwycięzcą.
— Pan zmusił księżniczkę do milczenia.
— Wyjdziesz za mąż za zwycięzcę — powiedział baron. Tymczasem trzeba wymyśleć karę dla kłamcy i przestępcy.

XV.

W tym czasie na stole zjawiła się malutka wróżka. Siedziała w niebieskiej turkusowej muszli, zaprzężonej w czwórkę dużych złotych żuczków. Muszlą powoził gruby trzmiel w czarnej liberji z czerwonemi i żółtemi pasami. Bicz miał zrobiony z kości świerszcza, na końcu kości była długa pajęczyna.
— Nie poznajesz mnie? — zapytała Karakola. — Jestem królewną wróżek. Uratowałeś mnie z pajęczyny w lesie. Raz do roku każda wróżka musi w postaci jakiegoś zwierzątka przebyć w lesie cały dzień. Byłam wtenczas muchą. Teraz ci się odwdzięczę, a ukarać muszę przestępcę.
Wróżka dotknęła Karakola malutką złotą laską. W jednej chwili znikł garb. Karakol stał się wysokim i ładnym młodzieńcem.
— Zobacz — zwrócił się baron do córki — twój narzeczony niema już garbu.
— A czyż go miał kiedykolwiek? — zapytała księżniczka. — Nigdy tego nie widziałam.
Tymczasem wróżka uderzyła laseczką seneszala Bistekola, a temu wyrósł drugi garb z przodu.
Po kilku dniach odbył się ślub Karakola. Na wesele był zaproszony i Firene Simolle. Baron Binsz prowadził pod rękę matkę Karakola.
W czasie uczty weselnej Karakol zwrócił się do Firene:
— Przyjacielu, zaśpiewaj mi, proszę.

I Firene zaśpiewał:

Ślimak, ślimak,
Pokaż rogi,
Dam ci grosik
Na pierogi.

Pół kurczęcia

Pewnego razu było sobie pół kurczęcia. Pracowało to, oszczędzało i uzbierało sobie 100 złotych.
Dowiedział się o tem król. A król zawsze potrzebował pieniędzy, więc przyszedł do niego pożyczyć. Pół kurczęcia było z tego bardzo dumne. Niedługo potem nastał dla pół kurczęcia ciężki rok. Prosiło tedy króla o zwrócenie pożyczonych pieniędzy. Król nie odpowiadał.
Pisało do ministrów. Ministrowie nie odpowiadali. Więc poszło samo do pałacu króla. Po drodze pół kurczęcia spotkało lisa.
— Dokąd idziesz, pół kurczęcia?
— Idę do króla. 100 złotych jest mi winien.
— Zabierz mnie ze sobą.
— Dobrze, z przyjemnością. Wejdź do mego gardła, ja cię tam zaniosę.
Lis wszedł do gardła pół kurczęcia i razem poszli. Pół kurczęcia było zadowolone:
— Zrobiłem przyjemność lisowi.
Trochę dalej spotkało wilka.
— Dokąd idziesz, pół kurczęcia?
— Idę do króla. 100 złotych jest mi winien.

— Zabierz mnie ze sobą.
— Z przyjemnością. Wejdź do mego gardła i ja cię zaniosę.

Wilk wszedł do gardła i pół kurczęcia dalej poszło. Było mu trochę ciężko.

— Ale za to wilk jest zadowolony — pomyślało. Niedaleko pałacu spotkało rzekę.

— Dokąd idziesz, pół kurczęcia?
— Idę do króla. 100 złotych jest mi winien.
— Zabierz mnie ze sobą.
— I tak dużo niosę. A potrafisz wejść do mego gardła? Wejdź, zaniosę cię.

Rzeka zrobiła się maleńką i wślizgnęła się do gardła pół kurczęcia.

Biedne małe stworzenie z trudem się posuwało. W końcu jednak przyszło do drzwi pałacu.

— Puk, puk, puk, puk!

Odźwierny wysunął głowę przez okienko.

— Dokąd idziesz, pół kurczęcia?
— Idę do króla. 100 złotych jest mi winien.

Odźwierny pożałował pół kurczęcia. Wyglądało to niewinnie.

— Odejdź, maleństwo, nie mogę niepokoić króla, on nie lubi tego.
— Otwórz jednak, chcę z królem pomówić. On ma mój majątek, on mnie dobrze zna.

Królowi powiedzieli o przyjściu pół kurczęcia. Siedział on właśnie przy stole i bawił się z dworzanami. Wiedział, poco pół kurczęcia przychodzi, ale zaczął się śmiać.

— Otwórzcie drzwi mojej kochanej przyjaciółce i zamknijcie ją w kurniku. Drzwi się rozwarły na rozkaz króla i mała jego przyjaciółka weszła spokojnie.

„Dostanę swoje pieniądze" — pomyślała.

Nie wprowadzili jej jednak na wielkie schody

królewskie, a wpuścił na małe boczne podwórko, otworzyli drzwiczki, popchnęli...

Krak... Pół kurczęcia było zamknięte w kurniku. Kogut jadł tam obierki sałaty. Spojrzał na pół kurczęcia pogardliwie. A kury zaczęły dziobać i bić. Kury są okrutne dla bezbronnych.

Pół kurczęcia było małem stworzeniem spokojnem, dobrze wychowanem i nie lubiło się kłócić. Wystraszone więc stało wśród tylu wrogów. Schowało się w kącie i zakrzyczało z całej siły:

— Lisku, lisku, wyjdź z mego gardła, inaczej zginę.

Lis wyszedł z gardła i podusił wszystkie kury. Służba przyszła karmić kury i znalazła tylko pióra. Z płaczem pobiegła do króla. Król aż poczerwieniał z gniewu.

— Zamknąć, — rozkazał, — tego warjata w owczarni.

I kazał podać sobie jeszcze wina.

W owczarni pół kurczęcia było w jeszcze większem niebezpieczeństwie. Barany były bardzo stłoczone i w każdej chwili mogły rozdeptać pół kurczęcia. Schowało się też ono za słupem, ale i tam przyszedł wielki baran i chciał się położyć. O mało nie rozgniótł pół kurczęcia.

— Wilku, wilku, wyjdź z mego gardła, inaczej zginę.

Wilk wyszedł z gardła i w jednej chwili zadusił wszystkie barany.

Król się o tem dowiedział. Gniew jego nie miał granic. Poprzewracał szklanki i butelki, kazał rozpalić wielki ogień i posłał do kuchni po rożen.

— Ach, niegodziwe, każę je usmażyć, a będzie mi tu wszystko zabijało!

Przyprowadzono do ognia pół kurczęcia. Maleństwo drżało całem ciałem. Król w jednej ręce trzymał pół kurczęcia, a w drugiej — rożen.

— Rzeczko, rzeczko, wyjdź z mego gardła, inaczej zginę. — Ledwo zdążyło wyszeptać.

Rzeczka wyszła z gardła, zagasiła ogień i zatopiła króla z jego dworzanami.

Pół kurczęcia stało się panem pałacu i zaczęło szukać swoich 100 złotych. Ale napróżno, pieniądze były wydane, nie zostało z nich nawet śladu. Króla na tronie teraz nie było. Pół kurczęcia wstąpiło na tron. Naród witał nowego króla głośnemi okrzykami i cieszył się z takiego oszczędnego króla.

Jean Mace (La Femme et l'enfant).

Szklanka

Z baśni Cudownych W. Ks. Poznańskiego (Morownica)
Z. O. Kolberga

Dwaj chłopcy żyli ze sobą w wielkiej przyjaźni. Pewnego razu udali się obaj w daleką podróż. Zapadła już noc i zrobiło się ciemno, gdy oni wchodzili do gęstego boru. W tym borze stał bardzo stary pałac; nie było w nim drzwi tylko otwór małego okienka. Jeden z chłopców powiada:

— Wejdę do tej dziury.

— A jak stamtąd nie wyjdziesz? — mówi drugi.

— To mi podasz laskę i wyciągniesz.

I wlazł.

Wtenczas ten drugi uciekł i już nie wrócił.

Siedzi chłopak w pałacu, ale wyleźć nie może. Z trudem wynalazł jakiś otwór w murze, w nim nic nie było oprócz szklanki. „Co ta szklanka znaczy?" — pomyślał chłopak i zaczął się wdrapywać po murze. Wtem niechcący potknął się o szklankę, a szklanka nagle zabłysła w ciemności. Wbiega służący i pyta:

— A czego najjaśniejszy książe żąda?

— Chciałbym stąd wyjść — powiada chłopak.

— Dobrze, zaraz będzie.

„Co ta szklanka znaczy?" — pomyślał chłopak — i jak ją trąci... Aż tu znów wchodzi służący:

— A czego najjaśniejszy książe żąda?

— Niech wszystkie drzwi się otworzą.

— Dobrze, zaraz będzie.

Chłopak, jak trąci jeszcze raz tę szklankę a tu wbiega służący:

— A czego najjaśniejszy książe żąda?

— Kolacji żądam.

— Dobrze, zaraz będzie.

Służący stół nakrywa i kolację przynosi. Chłopak żąda rozmaitych potraw, a służący wszystko podaje. Zjadł chłopak kolację. Po kolacji podchodzi do jednych drzwi, a te drzwi są zamknięte. Jak trąci szklankę, a tu wbiega służący:

— A czego najjaśniejszy książe żąda?

— Drzwi otworzyć do tego pokoju.

— Dobrze, zaraz będzie.

Chłopak otwiera drzwi i cóż widzi: Oto śpi piękna księżniczka, a koło niej służąca.

Jak trąci szklankę! Wbiega służący i pyta.

— A czego najjaśniejszy książe żąda?

— Obudzić księżniczkę i jej służącą!

Księżniczka wstała. Chłopak wziął ją za rękę,

przyprowadził razem ze służącą do stołu i jak uderzy w szklankę, a tu wbiega służący.

— A czego najjaśniejszy książe żąda?

— Kolacji dla księżniczki i jej służącej!

— Dobrze, zaraz będzie.

Księżniczka prosiła chłopaka, żeby wybawił ją i służącą.

Jak chłopak uderzy w szklankę, a tu wbiega służący.

— A czego najjaśniejszy książe żąda?

— Zostań tu! — mówi chłopak i jak trąci szklankę, a tu wbiega czart: — A czego najjaśniejszy książe żąda?

— Niech pan tego pałacu wstanie!

— Dobrze, zaraz będzie — odpowiedział czart.

Jak chłopak uderzył jeszcze raz w szklankę, czart wbiegł po raz drugi.

— A czego najjaśniejszy książe żąda?

— Umykaj natychmiast z tego pałacu. Już jest tu pan.

— Dobrze, zaraz będzie.

I czart natychmiast z pałacu umknął, a chłopak ożenił się z księżniczką i został księciem.

Żółw, myszka, kruk i sarenka

(Baśń turecka)

Gdzieś daleko, daleko płynęła rzeka. Na jednym brzegu tej rzeki stał gęsty las. Na drugim była polanka. Wokoło tej polanki rosły drzewa i krzaki.

W norze na polance mieszkała maleńka myszka. Myszka miała dużo maleńkich dzieci. Mamusia bardzo kochała swoje dzieci, — karmiła je i często prowadziła na spacer.

Na jednem z drzew mieszkał duży czarny kruk, w rzece zaś przebywał ogromny, stary żółw. Żółw mógł i po ziemi chodzić i w wodzie pływać. Pływa sobie, pływa, potem wychodzi na brzeg i grzeje się na słońcu. Na brzegu żółw poznał myszkę, a potem kruka. Wszyscy troje żyli w przyjaźni. Wieczorem zbierali się na brzegu pod krzaczkiem i gawędzili. Myszka opowiadała o swoich dzieciach, a żółw o rybach w wodzie. Najwięcej jednak opowiadał kruk. Nic dziwnego. Daleko latał, dużo widział.

— Tam, hen, za polanką jest jeszcze jedna rzeczka — opowiadał kruk, — za rzeczką są łąki, za łąkami — domy, a w tych domach mieszkają ludzie. Wybierzmy się tam kiedy, to zobaczycie.

Lecz i żółw i myszka bały się daleko odchodzić od swoich domków. A nuż kto je skrzywdzi!

Pewnego razu żółw, myszka i kruk siedziały sobie na brzegu rzeki i gawędziły. Wtem usłyszały jakiś szmer na drugim brzegu. Patrzą: a tu ogromne zwierzę wyskakuje z lasu, wpada do wody i płynie w ich stronę.

Myszka ze strachu uciekła do norki, kruk poleciał na drzewo, a żółw dał nurka do wody.

Przez rzekę płynęła sarenka. Dopłynęła, wyszła na brzeg, stanęła i patrzy w wodę. A tam siedział żółw. Sarenka patrzy na żółwia, a żółw na sarenkę. Długo patrzyli na siebie.

— Może chcesz się napić wody? Pozwalam ci, pij, — powiada żółw.

Sarenka piła wodę, żółw tymczasem wyszedł na brzeg i zaczął z nią rozmawiać. Rozmowę tę usłyszała

myszka i czemprędzej przybiegła. Kruk zobaczył rozmawiających, lecz nie słyszał słów, więc zleciał na ziemię. I tak się wszyscy zeszli. A sarenka opowiadała.

— Mieszkałam w dużym lesie na tamtym brzegu rzeki. Było mi tam bardzo dobrze: biegałam, skakałam, jadłam smaczną trawę, piłam czystą wodę ze źródła. Jednego razu przyszedł do lasu człowiek i zaczął strzelać do małych ptaszków. Przestraszyłam się i uciekłam. Biegłam, biegłam, przepłynęłam rzekę i oto teraz jestem z wami.

— Zostań z nami. Ludzi u nas niema. Jest tu cicho, spokojnie.

Opowiadali sarence o swem zgodnem pożyciu. Sarenka zgodziła się zostać i zamieszkała na polance. Wieczorami wszyscy się zbierali i gawędzili. Sarence jednak się nudziło. Chciała pójść gdzieś dalej.

— Nie odchodź daleko — mówił żółw. — Coś złego stać się może! A nuż spotkasz człowieka ze strzelbą. Czy ci jest źle z nami?

— Owszem dobrze, tylko mi się nudzi. Ja lubię biegać daleko, daleko...

Sarenka coraz więcej tęskniła do nowych miejsc, do pagórków leśnych. Ciągle była smutna, trawa jej nie smakowała...

Krukowi żal było sarenki, myszka z niej się śmiała, a żółw się na nią gniewał.

Pewnego razu wieczorem zebrali się jak zwykle myszka, żółw i kruk. Tylko sarenki nie było. Czekali na nią, czekali, lecz nie doczekali się: nie przyszła.

— Widocznie coś się stało sarence, — powiedział żółw. — Trzeba jakoś jej pomóc.

I zaczęli się naradzać.

— Niech kruk obleci wszystkie pola i łąki, wsie

i lasy — powiedział żółw. — Może znajdzie tam sarenkę. Gdy wróci, wtedy coś uradzimy.

Wszyscy się na to zgodzili i kruk poleciał.

Myszka i żółw zostali i długo, długo czekali na powrót kruka. Nareszcie wrócił kruk i zaczął opowiadać.

— Sarenka żyje. Widziałem ją w lesie. Człowiek zastawił sieci, sarenka w nie wpadła i wyjść nie może. Sieci są mocne i trudno je rozerwać. Sarenka bardzo prosi o pomoc.

Ale jak jej pomóc? Znowu zaczęli się naradzać. Tym razem myszka znalazła radę:

— Niech kruk znowu leci do sarenki, ja zaś prędziutko za nim pobiegnę. Moimi ostrymi ząbkami przegryzę siatkę, sarenka z niej wyjdzie i wróci do nas.

— A ja? — odezwał się żółw. — Ja też pobiegnę z myszką.

— Nie, nie, — zawołała myszka — ty zostaniesz w domu. Ty nie umiesz prędko biegać. Wleczesz się zawsze powoli. My zaś musimy wszystko prędko zrobić i uciekać. A jak przyjdzie człowiek i zabierze sarenkę?

— Żółw bardzo się zmartwił, ale milczał.

Kruk i myszka wybrali się w drogę. Kruk leciał, myszka biegła i tak dostali się do sarenki.

Sarenka bardzo się ucieszyła.

Myszka zabrała się do roboty i bardzo prędko ostrymi ząbkami przegryzła dużą dziurę w sieci. Sarenka wydostała się na wolność i już wszyscy mieli uciekać do domu... patrzą, a tu żółw pełznie.

— Pocoś tu przyszedł? — pytają go wszyscy.

— Dziwni jesteście! Nie mogłem przecie w domu sam siedzieć. Niepokoiłem się, ciągle myślałem: „A może im się co stało?"

— Ach, jaki ty jesteś. My musimy teraz prędko uciekać, a ty nas zatrzymasz.

— Prrrędzej, prrrrędzej — zakrakał kruk. — daleko ktoś idzie... Czy to czasem nie człowiek? A jakże, człowiek, doprawdy człowiek.

— Człowiek, człowiek... — powtórzył las.

Wszyscy byli wystraszeni. Myszka i sarenka szybko pobiegły, a kruk wzniósł się wysoko i krążył dokoła. Żółw próbował uciekać, ale nie mógł odejść daleko.

Tymczasem człowiek zbliżył się i zobaczył przegryzioną siatkę.

„Jakieś zwierzę wpadło do sieci, — pomyślał — lecz uciekło".

Zaczął rozglądać się wokoło i zobaczył żółwia.

„Czyżby to żółw przegryzł siatkę? Dziwna rzecz! Żółw przecie nie mógłby przegryść takich sznurów. Może to jaki nadzwyczajny żółw? Trzeba go zabrać".

Zdjął z pasa worek ze sznurka i wrzucił do niego żółwia.

Myszka i sarenka nie zdążyły wrócić do domu, a tu kruk je dogania i powiada:

— Człowiek włożył żółwia do worka.

— Trzeba ratować żółwia, — odezwała się sarenka. — Nie możemy go zostawić samego. Przecie jest naszym przyjacielem. Cóżby tu zrobić?

Zaczęli się naradzać.

— Wiem — powiedział kruk. — Myszka przegryzie znów worek. Do tego worka trzeba się tylko dostać.

— Ja pójdę — poradziła sarenka, — i zdaleka ukażę się człowiekowi. Ten popędzi za mną, ja tymczasem ukażę się w drugiem miejscu, człowiek pobiegnie za mną, a ja znowu będę w innem miejscu. Człowiek tak będzie biegał za mną, worek będzie mu przeszkadzał, może go zdejmie.

Wszystkim bardzo się to podobało. Sarenka pobiegła do lasu i ukazała się człowiekowi; ten pobiegł za nią, sarenka tymczasem ukazała się w innem miejscu i człowiek pobiegł za nią. Worek z żółwiem ciągle uderzał go w bok. Człowiek się zmęczył i rozgniewany rzucił worek na ziemię. Zobaczył to kruk, przyprowadził myszkę, a ta czemprędzej przegryzła worek. Żółw wyszedł z worka i schował się w krzakach. Myszka przyczaiła się obok niego. Niedługo potem przybiegła sarenka i przyleciał kruk. Człowiek szukał, szukał sarenki, ale nie mógł nigdzie znaleźć. Zmęczony wrócił do swego worka.

„Wezmę choć worek z żółwiem" — pomyślał.

Podchodzi do worka i widzi dziurę, żółwia zaś niema.

— Jakieś czary! Znowu żółw przegryzł worek! Dziwny żółw! Wogóle w tym lesie jakoś wszystko dziwnie się składa: żółw worki gryzie, kruk ciągle lata nad głową, sarenka to się pokazuje, to znów gdzieś ginie. Jakiś zaczarowany las.

Przestraszył się człowiek, zostawił na ziemi worek, a sam poszedł do domu.

Żółw, myszka, kruk i sarenka śmieli się z człowieka. Potem wrócili do domu i znowu żyli sobie spokojnie.

Człowiek już nigdy do tego lasu nie przychodził, bo się bał.

Kózki

W górach pasły się kózki. Nagle ujrzały zbliżającego się ku nim człowieka.

— Patrzcie, idzie nasz wróg, — powiedziała jedna z nich.

Przelękły się kózki. Tymczasem człowiek zbliżał się coraz bardziej. W ręku niósł postronek długi. Niespodziewanie zarzucił arkan i złapał jedną kózkę. Inne się rozpierzchły, lecz potem zebrały się na naradę.

— Pójdźcie, zobaczcie, co człowiek zrobi z naszą siostrą, — powiedziało stado do dwuch kózek.

Dwie kózki poszły. A człowiek przyprowadził kózkę do domu, przywiązał w stajence do ściany, dał zielonej smacznej, świeżutkiej trawy i czystej, czystej źródlanej zimnej wody.

Kózki wszystko to widziały przez szparkę w bramie. Wróciły do stada.

— Jakże się ma nasza siostra? — spytało stado.

— Źle, — odpowiedziały kózki.

Na drugi dzień stado znowu wysłało kózki do siostry.

— Pójdźcie, zobaczcie, co zrobił człowiek z naszą siostrą.

Kózki poszły. Przyszły do domu człowieka i zobaczyły otwartą bramę. Weszły przez bramę na podwórko i zapukały do siostry.

— Czy dobrze ci jest? — zapytały.

— Źle — odpowiedziała tamta. — Ciemno tu i duszno. Dziwny jest ten człowiek: podejdzie do mnie, głaska i mówi: „śliczna kózka, rozumna kózka, dobra kózka" i trzy razy dziennie przynosi mi zielonej, smacznej, świeżutkiej trawy i czystej, czystej, źródlanej wody. Dziś to nawet odwiązał mnie i mogę teraz biegać po stajence.

Kózki pożegnały się z siostrą i wróciły do stada.

— Jakże się czuje nasza siostra? — spytało stado.

— Nasza siostra jest chora, — odpowiedziały kózki.

Nazajutrz stado znowu wysłało kózki do siostry.

Kózki poszły. Przyszły do domu człowieka. Brama była otwarta. Weszły na podwórze i zobaczyły zamiast drzwi w stajence kraty. Za kratami stała ich siostra.

— Czy dobrze ci jest? — zapytały.

— Więcej mam światła i powietrza. Człowiek ciągle mi mówi:

„Śliczna kózka, rozumna kózka, dobra kózka" i trzy razy dziennie przynosi mi zielonej, smacznej świeżutkiej trawy i czystej, czystej źródlanej, zimnej wody.

Kózki pożegnały się z siostrą i wróciły do stada.

— Jakże się czuje nasza siostra?

— Gorzej się czuje — odpowiedziały kózki.

Nazajutrz stado znowu wysłało kózki do siostry.

Kózki poszły. Przyszły do domu człowieka. Brama była zamknięta. Siostra ich biegała po podwórku.

— Czy dobrze ci jest? — zapytały.

— Widzicie, już biegam po podwórku. Człowiek ciągle mi mówi „śliczna kózka, rozumna kózka, dobra kózka" i trzy razy dziennie przynosi mi zielonej, smacznej, świeżutkiej trawy i czystej, czystej źródlanej zimnej wody.

Kózki pożegnały się z siostrą i wróciły do stada.

— Jakże się czuje nasza siostra? — spytały.

— Gorzej się czuje — odpowiedziały kózki.

Nazajutrz stado znowu wysłało kózki do siostry.

Kózki poszły. Przyszły do domu człowieka. Brama była otwarta.

— Czy dobrze ci jest? — spytały.

— Widzicie, już swobodnie mogę biegać wszędzie. Człowiek ciągle mi mówi: „śliczna kózka, rozumna kózka, dobra kózka" i trzy razy dziennie przynosi mi zielonej, smacznej, świeżutkiej trawy i czystej źródlanej zimnej wody. Jeszcze trochę pobędę u niego i wrócę do was.

Kózki pożegnały się z siostrą i wróciły do stada.

— Jakże się czuje nasza siostra?

— Nasza siostra umarła.

Mysz wiejska i mysz polna

W gniazdku na grubym badylu zboża w polu mieszkała myszka. Pewnego pięknego dnia, w lecie, zaprosiła ona do siebie na cały dzień swoją kuzynkę. Ta mieszkała w mieście.

— Jakie piękne złote kłosy i czerwone maki! — podziwiała mysz miejska.

Z obiadu jednak nie była zadowolona.

— Jakto, — zawołała, — na obiad ty masz tylko ziarna zboża, jęczmienia i jakieś korzonki. To nie jest dobre jedzenie. Ja to mam mnóstwo dobrych rzeczy do jedzenia. Przyjdź do mnie, a zobaczysz.

Mała polna mysz była bardzo zadowolona i poszła do kuzynki. Ta mieszkała w domu bogatego kupca.

Kuzynka przyjęła ją bardzo dobrze. Zaprowadziła ją z początku do kuchennej szafki. Tam na dolnej półce za wielkim glinianym garnkiem stała biała głowa cukru. Mysz miejska swemi ząbkami przegryzła dziurkę w papierze i obie zaczęły chrupać.

„Nigdy nie jadłam takich smacznych rzeczy", — pomyślała mała polna myszka.

Wtem nagle drzwiczki szafy otworzyły się: bach... To kucharka przyszła po mąkę.

— Uciekajmy, uciekajmy, — szepnęła mysz miejska.

I obie przez małą dziurkę uciekły.

Mysz polna drżała ze strachu.

— Nie bój się, — powiedziała mysz miejska, — Ona sobie pójdzie, a my wrócimy.

I rzeczywiście wróciły. Tym razem wdrapały się na górną półkę. Tam znalazły miseczkę pełną suszonych śliwek. Z wielkim trudem wyciągnęły jedną śliwkę i zaczęły ją gryźć. To było jeszcze smaczniejsze, niż cukier. Ząbki małej myszki wolno pracowały. Nagle dało się słyszeć drapanie do drzwiczek szafy i... miau.

— Co to jest? — zapytała mysz polna.

— Ciiicho, — odpowiedziała jej kuzynka i uciekła do norki. Myszka polna — za nią.

— Jest to pan Bury, wielki kot domowy, — powiedziała mysz miejska. — On świetnie łapie szczury i gdyby nas zobaczył...

— To straszne, — powiedziała mała myszka. — Nie wracajmy już do szafy. Dobrze?

— Nie, zaprowadzę cię do piwnicy, tam jest coś jeszcze smaczniejszego.

Obie przyjaciółki zeszły do piwnicy. Tam w starej szafie zobaczyły garnki z masłem i dużo sera holenderskiego. Były tam również kiełbasy i beczułki z suszonemi jabłkami i wiele, wiele innych dobrych rzeczy. Wszystko to wspaniale pachniało. Mała wieśniaczka wszędzie biegała to tu, to tam i gryzła tu kawałek sera, tam kawałek kiełbasy. Nagle zoba-

czyła smaczny kawałek słoniny w małej dziwnej maszynce.

Już już chciała go ugryźć...

— Stój, stój, — krzyknęła kuzynka, — nie zbliżaj się, to jest pułapka.

— Co to znaczy pułapka? — zapytała mała myszka.

— Ta maszynka to — pułapka, — odpowiedziała tamta. — Jak tylko zębami dotkniesz słoninę, coś tam klapnie i złapie cię.

Mała myszka popatrzyła na pułapkę, potem na słoninę, potem na kuzynkę.

— Prepraszam cię, ale ja wolę wrócić do siebie. Wolę jeść tylko zboże i korzonki, a być spokojną, niż jadać cukier, sery i ciągle być w strachu.

Mała polna myszka wróciła na wieś i żyła tam szczęśliwie do końca swego życia.

Opowiadanie, jako metoda wychowania, dziś jest stosowana bardzo szeroko. „Oeuvre Nationale de l'enfance" prowadzi osobny dział pod tytułem „Opowiadajmy historyjki" i podaje w nim nietylko same historyjki, lecz często i wyczerpującą ich analizę. „La Femme et L'Enfant" również stale zamieszcza różne historyjki poszczególnych autorów. Dużo tych historyjek poświęcone jest rzeczom, zdawałoby się, błahym, a jednak wziętym z życia codziennego dziecka. Jeanne L. Cappe, redaktorka tego działu, słusznie uważa, że właśnie te codzienne rzeczy rozwijają spostrzegawczość i przekonywują dziecko, iż niema *tak małej rzeczy na usługach człowieka, która nie miała-*

by swego przeznaczenia. Ciekawą pod tym względem jest historyjka „Niespodzianka Milly-Molly-Mandy", tłomaczona z Joyce L. Brisley, z Christianisme Monitor.

Niespodzianka Milli-Molly-Mandy

Było to pewnego razu po szkole. Milly-Molly-Mandy zobaczyła, jak pani Green (pani ta mieszkała w dużym domu z balustradami niedaleko od szkoły) wysiadła ze swego auta; i była z nią jej mała córeczka Jessamine.

— Aaa... Milly-Molly-Mandy, wracamy z miasta, Mama była u fryzjera i kazała sobie obciąć włosy, — powiedziała Jessamine do Milly-Molly-Mandy.

Po przyjściu do ładnego białego domu krytego słomą Milly-Molly-Mandy zasiadła do obiadu z tatusiem i mamusią i babcią i dziadkiem i wujem i ciotką i natychmiast opowiedziała wszystkim tę nowinę. I mama i babcia i ciocia słuchały z zainteresowaniem.

— To nadzwyczajne — powiedziała mama. — Ciekawa jestem, jakbym ja wyglądała z krótkiemi włosami.

Tatuś powiedział:

— Wolę cię taką, jaką jesteś.

I dziadek powiedział:

— Byłoby to śmieszne, Polly.

I babcia powiedziała:

— Siedziałabyś stale u fryzjera.

I wujek powiedział:

— My także musielibyśmy zgolić brody.

I ciocia powiedziała:

— Nie byłoby ci z tem do twarzy.

— O, obetnij je, mamo, — rzekła Milly-Molly-

Mandy. — Zupełnie tak, jak ja. I wtedy wezmą cię za moją siostrę.

Spojrzała czule na swoją mamusię. Już ją sobie wyobraziła z krótkiemi włosami.

— Myślę, że byłabyś taką ładną starszą siostrą, mamusiu, — dodała.

Mama roześmiała się:

— O, Milly-Molly-Mandy, dużo czasu minie, zanim będę mogła o tem pomyśleć.

Co myślała pani Moggs?

Następnego dnia, przed wieczorem, mama poszła w stronę dworku pani Moggs kupić śmietankowy serek. Milly-Molly-Mandy dreptała obok niej. Mama wstąpiła do pani Moggs i zapytała:

— Pani Moggs, co pani powie, gdy sobie obetnę włosy?

— Niech pani tego nigdy nie robi, to wstyd obcinać takie włosy. Jednakże ciekawa jestem, jakbym ja z tem wyglądała, — dodała po chwili.

Mama powiedziała:

— Chodźmy więc razem do fryzjera i obetnijmy je.

Ale pani Moggs nie chciała.

Była straszna wichura. Mama wracała prędko do domu. Po drodze zgubiła grzebyk. Było ciemno, więc nie mogła go znaleźć. Pewnie upadł w trawę.

Mama wróciła do domu zupełnie rozczochrana.

— Gdybym miała obcięte włosy, nigdyby mi się to nie przytrafiło, — zawołała.

Ale tatuś odpowiedział:

— Jesteś ładniejsza tak, jak teraz.

I dziadek powiedział także:

— Byłoby to niemądre, Polly, ty, matka takiej dużej dziewczynki, jak Milly-Molly-Mandy.

Ale babcia powiedziała:

— Byłoby wygodniej.

I ciocia powiedziała:

— I mnie z tem byłoby bardzo do twarzy.

Mama patrzyła na Milly-Molly-Mandy, a brwi jej, zdawało się, pytały: „Czy zrobić tak"? Milly-Molly-Mandy ruchem głowy przytaknęła „Tak, tak".

— Pojadę jutro do miasta kupić parę rzeczy do ogrodu. Nie mogę znaleźć ich we wsi, — powiedział tatuś.

A mama powiedziała:

— To będę ci towarzyszyć. (W tej chwili Milli-Molly-Mandy wydało się, że tatuś i mama uśmiechnęli się do siebie tak, jakby mieli jakąś tajemnicę).

W dorożce.

Tatuś i mamusia wyjechali razem dorożką.

Po południu Milly-Molly-Mandy wyszła ze szkoły ze swoją przyjaciółką Zuzanną.

— Czy nie pojechała czasem mama do miasta obciąć sobie włosy, tak jak mama Jessamine, — zaniepokoiła się nagle Milly-Molly-Mandy.

Prędko pożegnała się ze swoją małą przyjaciółką Zuzanną i poszła do domu. Przez resztę drogi biegła nawet.

Wbiegła do kuchni. Mama piekła ciastka do herbaty. A kiedy mama rozstawiała filiżanki na stole i smarowała masłem pieczywo, i babcia i ciocia patrzyły na nią i uśmiechały się.

...Ponieważ włosy mamy były krótkie jak włosy Milly-Molly-Mandy. I była ona taka piękna i taka

„mama", — Milly-Molly-Mandy strasznie się ucieszyła.

— Czy tatuś cię widział? — zapytała.

I mama i babcia i ciocia zaczęły się śmiać.

— Tak — odpowiedziały.

Naprawdę niespodzianka.

Śmiech ten bardzo zdziwił Milly-Molly-Mandy. Wtedy mama powiedziała:

— Milly-Molly-Mandy, zadzwoń, żeby wszyscy przyszli na herbatę.

Milly-Molly-Mandy zadzwoniła. Kiedy wszyscy siadali do stołu, Milly-Molly-Mandy nie spuszczała oczu z włosów mamy.

Mama była taka ładna i taka uśmiechnięta.

„Z czego ona się śmieje!" — myślała Milly-Molly-Mandy.

Wuj także się uśmiechał. Wszyscy uśmiechali się. I wtedy Milly-Molly-Mandy spojrzała na tatusia. I wtedy zobaczyła zamiast tatusia dziwnego człowieka. Wszyscy patrzyli na nią i śmiali się. I wtedy mama klapnęła ją po ramieniu.

— Prawda, jaki tatuś niedobry, — powiedziała, — zgolił brodę, gdy ja obcinałam sobie włosy.

I ten dziwny człowiek był tatusiem.

— Prawda, Milly-Molly-Mandy, i ja też jestem ładny? — spytał.

Minęła długa chwila, zanim Milly-Molly-Mandy mogła coś powiedzieć. Potem ona chciała wiedzieć, co myśleli tatuś i mamusia.

I tatuś powiedział:

— Ja ci już mówiłem, że kochałem ją taką, jaką była, kocham ją więc dalej taką, jaką jest.

I mama odpowiedziała:

— Będę go bardziej kochała takim, jakim jest teraz, jak się przyzwyczaję.

I Milly-Molly-Mandy pocałowała tatusia i powiedziała cichutko:

— Każdy jest najładniejszy taki, jaki jest, prawda?

— Tak — zgodziła się ciocia i wsunęła drut do robienia pończoch we włosy.

— — — — — — — — — — — — — — —

„Jest to opowiadanie zupełnie proste.

Wdzięk wynika właśnie z tej prostoty. Jest to obrazek kochających się serc, malowany łagodnemi barwami z małą dziewczynką w środku. Żadnych nadzwyczajnych historyj. Najprostsze zdarzenie przybiera w umyśle dziecka rozmiary sensacji.

Nie wyobrażamy sobie dostatecznie ważności, jaką mali nadają postępkom ich rodziców. Nie trzeba więcej nad obcięte włosy, żeby mała dziewczynka była tem zajęta i zaniepokojona w ciągu paru dni. To właśnie chciał nam opowiedzieć Joyce — L. Brisley w opowiadaniu, które tłomaczymy.

Historyjka ta opowiadana dzieciom podoba im się bardzo tak, jakby chodziło o opowiadanie pełne nadzwyczajnych zdarzeń. Przedewszystkiem dlatego, że mówi ona o ich życiu dziecinnem, ich życiu codziennem. Należy zauważyć, że wielka część zainteresowania tem opowiadaniem zostaje wywołana dzięki samej technice. Zawiera ona dla opowiadających cenne wskazówki. Tłomaczenie nie przeszkadza w uchwyceniu stosownej eufonji: powtarzanie ciągłe imion osób, powtarzanie tej samej formy zdania, podjęcie myśli wyrażonej w poprzednim ustępie, częste używanie zaimków, tworzą rytm zupełnie pochłania-

jący dla ucha dziecka. Używanie „i" i „wtedy", które może się wydać błędne, jest umyślne, ponieważ odpowiada wiecznemu pytaniu na ustach dziecka, słuchającego opowiadania. Dwa te małe wyrazy mają rzeczywiście magiczną władzę: nietylko że stanowią połączenie opowiadania zapewniając jego ciągłość, lecz za każdym razem zwiększają chęć dowiedzenia się dalszego ciągu; trzymają audytorjum w napięciu, co jest rzeczą najważniejszą w czasie opowiadania dzieciom.

Należy jeszcze zauważyć sposób, w jaki Milly-Molly-Mandy, postać centralna, jest uwypuklona. Perypetje opowiadania są ciągle do niej sprowadzane. Jej imię powraca ciągle w całości i imię to jest nadzwyczajnie dźwięczne: trzy M — Milly-Molly-Mandy — musi uderzyć audytorjum i zmuszać do uwagi umysły mniej uważne. Dla tych wszystkich względów opowiadanie jest wzorem swego rodzaju. Oczywiście, aby zapewnić mu powodzenie, opowiadająca musi je sobie znakomicie przyswoić. Jest to opowiadanie, którego siła polega właśnie na prostocie i jako takie nie pozostawia miejsca dla improwizacji".

(Jeanne — L. Cappe).

B u n t

Jednego pięknego dnia sprzęty kuchenne się rozgniewały: patelnie, garnki, wiadra, łyżka do szumowania, lejek. Wezbrały strasznym gniewem.

— Każą nam robić tylko brudne roboty — krzyczały.

— Od dzisiejszego dnia, — powiedziała Szczotka — nie będę więcej zjadała kurzu, mam go dosyć.

— A ja nie będę go więcej zbierała, — powiedziała Śmietniczka.

Szczotka od ubrania i Ściereczka od kurzu też nie chciały pracować.

— To tak, jak i ja, — powiedział Słoik od musztardy, — mam ochotę wyjść. Ten zapach musztardy mnie męczy.

— Pójdziemy razem, — krzyknął mu Młynek od kawy.

— Ja też chcę do was należeć, — krzyknęło Pudełko od soli. Jak tylko zupa, kartofle albo jarzyny są przesolone, — pan gderze głosem natrętnym: za dużo soli. Zawsze za dużo im soli! A teraz nie dostaną wcale.

Szczypce skarżyły się również:

— Węgiel jest taki czarny.

Kociołek odpowiedział:

— Ogień jest taki gorący.

Wtem drzwi kredensu się uchyliły.

— Ach, wy nie chcecie pracować! — krzyknęły wszystkie Słoje, Szklanki, Butelki i Waza do zupy.— Zaczekajcie na nas. Jesteśmy ciągle zamknięci i tak zmęczeni tem. Wyjmują nas stąd poto tylko, żeby zabrudzić.

— Ach, zapłakał mały złoty Dzbanuszek, — pomyślcie tylko: od czasu jak mały Piotruś urwał mi ucho, nie wyjmowali mnie więcej. Chlip, chlip...

Właśnie w tym czasie państwo mieli wyjechać. Sprzęty skakały z radości. Po wyjeździe państwa te sprzęty nie robiły nic, ale to nic a nic Próżnowały przez calutki dzień i udawały wielkich panów.

Lecz coś się stało?

Pan Pająk, którego dawniej nigdy nie widziano, zamieszkał razem z niemi.

Z początku był jeden, potem dwa, trzy, cztery, a później dużo, dużo.

Pan Kurz, którego dawniej nie widziano, również zaczął padać na te naczynia. Na palec grubości mieli oni na ramionach tego kurzu. To było szkaradne. Wyglądały one bardzo biednie. A wkońcu znudziło się to im okropnie. Leniuchy zawsze się nudzą. To też kiedy państwo powrócili, wszystkie te naczynia były tak zadowolone, że się zaczęły ruszać.

Szczotka zaczęła zamiatać.
Młynek do kawy mleć.
Szczypce brały węgiel.
Kociołek gotował wodę.
Szczotka nacierała podłogę.
Pająki uciekły, a kurz odleciał.
Wszyscy się ucieszyli.

— Naprawdę, — powiedziały dwa małe dzbanuszki, — niech żyje praca, i zatańczyły z radości.

Niech żyje praca! — zakrzyczały wszystkie razem.

— A ja — powiedział imbryk — nie będę krzyczał. Będę to śpiewał.

I z całej tej awantury zrobił on piękną piosenkę i śpiewał ją na blaszę.

(Z „Oeuvre Nationale de l'enfance").